Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 26 (1866) ● 26 czerwca–2 lipca 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



Premier zombie

str. 9

CHORY KRAJ

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl e7de66dc69

WOJNA DOMOWA

Afera z dr. Kacprzykiem nie przysycha, bo Donald się wściekł. Korzystając z tego nastroju, Naczelna Izba Lekarska przedstawiła parę sensownych postulatów. Np. ujednolicenie maksymalnego wymiaru pracy lekarzy na etatach i na kontraktach na poziomie 78 godzin tygodniowo – to, uświadommy sobie, ponad 11 godzin dziennie przez 7 dni w tygodniu. Nikt z nas nie chce trafić w ręce lekarza, który pracuje więcej. Prezes NIL Łukasz Jankowski domaga się poza tym nowej, rozsądnej wyceny procedur, a także wprowadzenia zasady, że lekarze z legitymacjami partyjnymi nie mogą pełnić funkcji kierowniczych – żeby nie musieli wybierać między Hipokratesem a prezesem. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że NIL już trzy razy prosiła premiera o spotkanie, ale bez odzewu. Zapytany, czy to się zmieni – Tusk odrzekł karcącym tonem: „Ja obserwuję aktywność samorządu lekarskiego i szefa tego samorządu i nie ukrywam, że zawsze była to raczej presja na rzecz ochrony status quo". Sugerowalibyśmy metodę obserwacji uczestniczącej.

Orły Białe latają jak gołębice. Od razu po decyzji Nawrockiego, a jeszcze przed kontrasygnatą Tuska przyleciał ten od Zełenskiego, za pośrednictwem prywatnej filmy kurierskiej Nova Post, bo podobno pojazdy państwowej Ukrposzty są przez Polaków zatrzymywane na granicy. Potem swoje dorzucili Łeonid Kuczma, Wiktor Juszczenko i Petro Poroszenko, choć ten ostatni chyba bez przekonania, jak można wnioskować z filmu, który powiesił w necie: „Przesyłki z orderami pojechały do Warszawy, wszyscy wylaliśmy zrozumiałe emocje, a teraz czas się uspokoić. Polska to kraj, przez który przechodzi ogromna część naszego bezpieczeństwa"… Zełenski chyba jednak jeszcze emocji nie wylał, choć starał się jak mógł: „Prezydent Polski zaznaczył, że Order Orła Białego nie jest zwykłym odznaczeniem. Taki symbol wymaga nie tylko zasług, ale także poszanowania wartości, które stanowią fundament naszej wspólnoty. Jeśli więc uważa się, że ten szczególny symbol może pozostawać w rękach Katarzyny II, Benita Mussoliniego i Gerharda Schrödera, to my w Ukrainie nie będziemy z tym polemizować"…

W ramach focha Zełenski nie tylko przestał latać z Jasionki, ale i ogłosił, że nie przyjedzie na gdańską Konferencję na rzecz Odbudowy Ukrainy, której jest współorganizatorem i widnieje na zaproszeniach. Nie przyjedzie również jego żona, a także Andrij Sybiha, który pełni nieco oksymoroniczną funkcję „szefa ukraińskiej dyplomacji". Przyjedzie za to premierzyca ukraińskiego rządu, której nazwiska nikt nie zna, bo i po co, skoro i tak niedługo pójdzie siedzieć. Donald Tusk trzyma fason: „Decyzję o nieobecności prezydenta Zełenskiego konsultowano ze mną, pani premier pytała mnie o opinię, ja to przyjmuję z takim poczuciem, że to też może przysłużyć się tej konferencji, że będzie mniej emocji, a bardziej merytoryczna"… „W końcu zerwać z kimś – zwyczajna rzecz, w końcu ja pierwsza dawno chciałam ci powiedzieć: Precz!"…

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz też usiłuje trzymać fason, ale wychodzi jej to nieco gorzej. Każde słowo krytyki Zełenskiego ministra opatruje antyrosyjskim zaklęciem: „Pamiętajmy, gdzie jest największy problem, to jest Rosja, tam jest wróg, tam jest wielkie niebezpieczeństwo"; „dzisiaj każdy mądry polityk czy każdy odpowiedzialny patriota wie, że najważniejsza jest walka z Rosją, bo tam jest zagrożenie dla Polski"; „wiemy, że tu chodzi o Rosję"; „to jest coś, co ja cały czas powtarzam i pamiętajmy: mamy wroga Rosję"; „to, co jest najważniejsze, to jest wojna w Putinem"; „jak Ukraina wpływa Rosję, to to jest dobre dla polskiego bezpieczeństwa, bo inaczej Rosja ma aspiracje, żeby dybać na nasze bezpieczeństwo"… Tak nam się przypomniało, jak Władimir Putin na okoliczność Epifanii kąpał się w przeręblu w kształcie krzyża, nad którym stał trzymetrowy krzyż wycięty z lodu, a on dodatkowo miał wielki krzyż na piersi. Bo jak ateista uprawia religianctwo, to potrzebuje wielokrotnych zapewnień… Może ktoś uspokoiłby panią minister, że fakt, iż jej matka jest Rosjanką, nie zobowiązuje jej do mówienia w każdym zdaniu, jak nienawidzi Rosji? Wiemy, wierzymy, prosimy nie powtarzać.

Minister obrony narodowej RP z dziecięcą radością poleciał do Hiszpanii, żeby za pożyczkę z SAFE kupić zajebiste samoloty do tankowania w powietrzu, Airbus A330 MRTT, które są budowane we Francji i wykańczane w hiszpańskich zakładach Airbusa w Getafe. Ale za to okablowanie jest produkowane w Polsce! Hiszpańska minister obrony Margarita Robles gościnnie odstąpiła mu swoją kolejkę do zakupu tankowców, tłumacząc, że Polska „bardziej ich potrzebuje". Kiedy Trump rok temu zażądał od NATO 5 proc. PKB na wojsko, hiszpański premier odpowiedział listem do sekretarza Ruttego: takie wydatki byłyby „niezgodne z naszym państwem opiekuńczym i naszą wizją świata", wymagałyby „podniesienia podatków dla ludzi pracy, cięcia usług publicznych i świadczeń socjalnych dla obywateli" i „każdy rząd ma prawo decydowania, czy chce dokonać takich poświęceń, czy też nie; jako suwerenny sojusznik zdecydowaliśmy się tego nie robić". „W Hiszpanii Polska jest symbolem państwa, które się zbroi" – orzekł z dumą Władzio. Jest na to inne słowo: frajer.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA



Czerwiec 2014 r.

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Świętego Silvera

Nieprawdą jest, że po raz pierwszy od 25 lat siły policyjne wtargnęły do redakcji, żądając nagrań. W takiej samej sprawie policja z prokuratorskim nakazem przyszła niegdyś do redakcji „NIE". Prezydentem był wówczas Kwaśniewski, a ministrem spraw zagranicznych Cimoszewicz. Uzyskaliśmy dyskietkę z nagraniem tysięcy niezaszyfrowanych rozmów pracowników MSZ prowadzonych przez telefony sieciowe. Opublikowaliśmy wiadomość o tym ilustrowaną śmieszną paplaniną urzędniczek. Biło to w ministra Cimoszewicza, bo ukazywało, że można podsłuchiwać i nagrywać rozmowy w centrali dyplomacji. Zaprosił mnie wtedy do pałacu prezydent, prosząc, żebym nie publikował rzeczy sprzecznych z interesem państwa. Odparłem, że akurat nie mam teraz interesu w szkodzeniu państwu. Podsłuchane rozmowy miały formę dyskietki. Prawda jest taka, że w „NIE" pracują leniwi ludzie. Nikomu nie chciało się godzinami słuchać telefonicznych ględzeń centrali dyplomacji, żeby wyszukać coś pikantnego, kompromitującego, np. znamionującego zdradzanie tajemnic. Kiedy więc policja zażądała wydania dyskietki, inaczej niż red. Latkowski oddałem ją i już. Ponieważ łatwo było ustalić, kto ma stały dostęp do centrali telefonów w MSZ, sprawcę podsłuchu szybko złapano, a to, co było na dyskietce, w ogóle w tym nie pomogło. Oczywiście nie powiedziałem, skąd miałem dyskietkę, a jeżeli sprawca podsłuchu miał proces, to nie wezwano mnie na świadka. Wspominam o tej historii dla porządku.

Świętego Ete

Afera. Pisałem, że celebrowana była 28. rocznica ślubu z Daniszewską. Z tej okazji zamówiłem dla niej kwiaty, tylko że ona sama musiała zapłacić za dostawę. Nie polecam wszystkim mężom takich oszczędności, są kosztowne.

Świętego Boga

Pomyśleć: dwóch panów idzie do knajpy, piją, żrą, gadają, byle kto ich podsłuchuje i państwo się od tego trzęsie. Nie należy wierzyć w żadną stabilizację. Byle co burzy ją niespodziewanie. Tak samo może z niczego wybuchnąć wojna. Obama powiedział, że nie zostawi nas samych. W 1939 r. Anglia i Francja nie tylko groziły Niemcom wojną o Polskę, ale wojnę wypowiedziały. I co z tego? Jeżeli Rosja zajmie zbrojnie Ukrainę, republiki nadbałtyckie i Polskę, Zachód zarządzi izolację Moskwy, zerwie stosunki, urządzi zbrojną demonstrację, ale nie rozpocznie przecież wojny z mocarstwem nuklearnym.

Przypisek: powyższe zdania napisałem, zanim ogłoszono, że Sikorski krytykował robienie loda Ameryce i drażnienie tym Unii Europejskiej i Rosji. USA to wielki chuj, nie na nasze małe usteczka.

Świętej Andrei

Obywatelka dama Jolanta Kwaśniewska za rządów PiS podejrzana była o to, że po zaprzestaniu bycia damą pierwszą kupiła i sprzedała dom w Kazimierzu przez podstawione osoby. Nie wiadomo więc, czy miała pokrycie na nabywanie domu. Mogła też nieuczciwie obniżyć należne podatki. Nie znaleziono dowodów na te banalne przestępstwa, jakich w Polsce więcej niż królików. Przyjmijmy jednak za podejrzliwym Mariuszem Kamińskim, byłym szefem CBA, że Kwaśniewska zrobiła skarbowi kuku. Obejrzyjmy tropienie przestępstwa.

O willi mówił Józef Oleksy nagrany potajemnie przez Aleksandra Gudzowatego. Nie zdradza on, skąd wie o tajonym zakupie prezydentowej. Ale ja wiem skąd. Wcześniej sugestie takie wysuwały, opierając się na lokalnych plotkach, trzy dzienniki-tabloidy. Nie jest więc tajne źródło paplaniny Oleksego. Na to Kamiński wszczyna operację. Opisuje ją tygodnik „Do Rzeczy" nr 25. Agent Tomek wynajmuje mieszkanie, żeby zaprzyjaźnić się z synem domniemanej pośredniczki. Udaje biznesmena. W tym celu otrzymuje auto Porsche i motocykl Harley. 10 lub 12 wysoko płatnych agentów CBA gra role biznesmenów – jego przyjaciół. W ten sposób agent dotarł do wnętrza domu w Kazimierzu. I co z tego? Ano widzi tam wino i whisky znamionujące pitne upodobania Kwaśniewskich. Agent Tomek trenuje teraz z synem pośredniczki mieszkaniowej boks w klubie, żeby mu się przypodobać. CBA daje Tomkowi torbę z 1,5 mln zł, żeby przekazał zaliczkę na dom. Ten przez sześć godzin liczy pieniądze i idzie do knajpy, a tam CBA udaje, że aresztuje swego szpiega agenta Tomka. Nawet go bije, a agent Tomek rzyga. Tyle trudów, ludzi, pieniędzy i wysiłku i scenariusz tandetnej komedii, żeby wykryć drobne przestępstwo jednej gospodyni domowej! PiS twierdzi zaś, że nie było to polowanie o celach politycznych apolitycznej rzekomo służby. Jak PiS teraz powie, że nadeszło już lato, to i tak skłamie, bo inaczej nie umie.

Świętego Prospera

Komandor Orderu Odrodzenia Polski (Polonia Restituta) pudel Azor odznaczony został przeze mnie kawałem pieczeni wołowej z koniny za przegnanie z ogrodu obcego czarnego kota. Kot podejrzany był o dybanie na cnotę naszej kotki Gieni. Z drugiej strony mam ochotę zabić pudla. Dupek wesoło macha ogonem, podczas gdy nad krajem zawisł koszmar: rządy tego gnoma Kaczyńskiego i jego Himmlerka.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Świętego Antelma

Dyskutowaliśmy w redakcji, co zrobić, żeby tak jak na „Wprost" napadli na nas bestialscy seremetowcy oraz policje polityczna i mundurowa. Doszliśmy do wniosku, że powinniśmy ukryć w budynku „NIE" żywy przekaźnik informacji. Najlepiej, żeby to była dziewczyna, gdyż efektowne jest szarpanie takiego źródła dziennikarskiego. Można je też rozerwać. Piotr Ikonowicz przybędzie na odsiecz w swojej czerwonej koszuli, którą kochają kamery. Byczym karkiem wypchnie drzwi i wyniesie dziewicę, zostawiwszy oprawców z bolącymi jądrami.

Świętego serca

Daniszewska powiada, że czarne ślimaki atakują nasz ogród, a są tak szybkie, że trzeba je złapać i spalić żywcem. Ślimaków tak trudno się pozbyć jak Seremeta.

Świętego Jana

Jak czytelnikom wiadomo, Tusk mnie oskarżył, a sąd skazał za to, że publikując jako żart prima-aprilisowy rzekomo podsłuchaną zmyśloną rozmowę premiera, włożyliśmy mu w usta chuja, kurwę i pierdolenie. Obecnie publikowane we „Wprost" rozmowy ministrów iskrzą się od tzw. wulgaryzmów. Kurwa jest tak częsta jak nabieranie oddechu. Wielką niesprawiedliwość wyrządził mi Donald Tusk i sąd jego kraju. Przecież gdyby premier naprawdę nie używał kurwy, chuja i pierdolenia, w ogóle nie mógłby się porozumiewać ze swoimi ministrami. Tusk słusznie zbagatelizował rażącą obłudników polszczyznę swoich ludzi. Mnie natomiast za sugerowanie mu używania rządowego języka postawił przed sądem i uzyskał skazanie. Premier objawia dwoistą wrażliwość i wybiórczą srogość. Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się! ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- Z **kościoła w Sosnowicach** straż pożarna usunęła gniazdo szerszeni. Nam to wygląda na klasyczną biblijną plagę, ale co my się tam znamy.
- **Robert Makłowicz** otrzymał Order Chorwackiej Plecionki. Miejmy nadzieję, że Makłowiczowi nikt go nie odbierze.
- Jak informuje Plejada, **Andrzej Rosiewicz** wystąpi w „Tańcu z gwiazdami". Wygra, o ile Ziobro zorganizuje Polonię do głosowania.
- **Tomasz Sakiewicz** walczy z niemieckimi reklamami w Republice. To Niemiaszkom spadnie sprzedaż Mercedesów.
- **Robert Bąkiewicz** powiedział, że w Berlinie był zamknięty w klatce bez tlenu. Widocznie pan Bąkiewicz należy do beztlenowców, bo wcale mu to nie zaszkodziło.
- **Niedziela.pl** przypomina, aby w kościołach nie epatować cielesnością. W kościołach epatujemy cielcem.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Troska o ekologię

„Filozofia pustej butelki" („NIE" nr 25/2026 – red.) naprawdę rzeczowo (co istotne: bezkonfliktowo) wyjaśniona. Proszę być dobrej myśli, powinno się poprawić. Przecież do niedawna wszyscy mieliśmy dosyć ładowarek przystosowanych do konkretnego modelu telefonu i co? Ujednolicono?! (...) Proponuję puszkomaty Biedronki omijać, konkurencyjny Lidl (...) w ramach „troski o ekologię" przyjmuje opakowania niekaucjowane. I płaci za nie.

Grzegorz Notecki

Błyskotkami naród żyje

W opiece zdrowotnej bajzel, jakiego jeszcze nie było. Spora część społeczeństwa zarabia w okolicach płacy minimalnej. System emerytalny na łopatkach. Rośnie bezrobocie. Likwidują się małe i duże firmy. W sklepach coraz większa drożyzna. Nabrzmiewa problem mieszkaniowy... A tymczasem obywatele państwa, w którym tak się dzieje, podejmują inicjatywę stworzenia nowej błyskotki, która zawiśnie na Zełenskim. Ludzie jednoczą się wokół tej inicjatwy i są już pod nią tysiące podpisów. Jeżeli tak łatwo są w stanie jednoczyć się wokół zupełnie nieistotnej sprawy (...), to dlaczego nie mogą zrobić tego w obronie swoich interesów przed państwem, które na każdym kroku wystawia ich do wiatru? Czy jakaś błyskotka dla Zełenskiego to największe wyzwanie, przed jakim stanął nasz naród u początku drugiej ćwierci XXI wieku?

Joanna K., Warszawa

Szansa dla Nowej Fali

Natychmiast po ogłoszeniu decyzji PKN o odebraniu orderu premier Tusk powinien oświadczyć, że decyzja ta nie ma mocy prawnej, ponieważ nie ma i nie będzie miała jego kontrasygnaty. (...) Uzasadnienie braku kontrasygnaty jest proste: przerwanie eskalacji konfliktu i uznanie, że nazewnictwo jest wewnętrzną sprawą Ukrainy. Jeśli premier tego nie zrobił, czyli kontrasygnatę złożył, to niech ma odwagę się do tego przyznać – może chce coś ugrać u PKN. Milczenie nt. kontrasygnaty jest manipulacją i cenzurowaniem informacji. Już na KO w takiej sytuacji nie zagłosuję – dam szansę Nowej Fali, bo obecna koalicja nie ma szans

Bogusław Ładoś

eprasa.pl e7de66dc69

Służbę zdrowia uratuje podatek zdrowotny, a nie akcje charytatywne

Rynek handlujący złudzeniami

Internetowe zbiórki na leczenie są wzruszające, czasami skuteczne i zawsze upokarzające. Wzruszające, bo ludzie potrafią wyciągnąć pieniądze z własnych portfeli, żeby ratować kogoś, kogo nigdy nie spotkali. Skuteczne, bo czasem naprawdę kupują lek, operację, rehabilitację, transport, życie. Upokarzające, bo nikt nie powinien musieć wystawiać własnej choroby na widok publiczny, żeby dostać szansę na leczenie.

W kwietniu 2026 r. zbiórka Łatwoganga i Bedoesa dla Fundacji Cancer Fighters przekroczyła 290 mln zł. To była ogromna mobilizacja społeczna. I dobrze. Niech każde chore dziecko dostanie pomoc, jeśli można ją zdobyć. Taka kwota jest powodem do wysokiej oceny empatii społeczeństwa, ale nie jest powodem do samozadowolenia państwa. Przeciwnie. Jest wobec niego aktem oskarżenia. Jeśli w kraju należącym do Unii Europejskiej leczenie dzieci chorych na raka wymaga dziewięciodniowego streamu na YouTubie, to znaczy, że na końcu publicznego systemu stoi nie procedura ani zasady społecznej solidarności, lecz złudzenie, że jakoś to będzie.

Zbiórka nie jest istotą problemu. Jest objawem choroby. Takim jak gorączka i ból: można je stłumić lekami, ale nie wyleczy się w ten sposób infekcji ani przyczyny bólu. To nasz organizm społeczny jest zatruty – zatruty fałszywym przekonaniem, że zdrowie da się zorganizować jak usługę rynkową.

Nie da się. Bo ochrona zdrowia, podobnie jak bezpieczeństwo czy dostęp do edukacji, nie są i nie mogą być towarem. A to dlatego, że rynek nie umie sprawiedliwie rozdzielać leczenia, bezpieczeństwa ani edukacji. Rynek rozdziela według zdolności płacenia, nie według indywidualnej czy zbiorowej publicznej potrzeby. Dlatego jedynym racjonalnym systemem jest społeczna służba zdrowia finansowana z budżetu państwa: powszechna, publiczna, dostępna dla wszystkich, którzy potrzebują, niezależnie od zasobności portfela.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Budżet, nie jałmużna

W Polsce przyzwyczajono nas do myślenia o zdrowiu przez kategorię „składki zdrowotnej”. Brzmi to tak, jakbyśmy wszyscy odkładali do wspólnej skarbonki na własny przyszły katar. To myślenie jest systemowym błędem. Poważna ochrona zdrowia tak nie działa. Ma opierać się na solidarności. Dzisiaj płacą zdrowi, jutro korzystają chorzy. Dzisiaj płacą młodsi, jutro będą starzy. Dzisiaj ktoś finansuje cudzą onkologię, jutro ktoś inny sfinansuje jego udar, depresję, cukrzycę albo operację serca.

Dlatego zdrowie powinno być finansowane przede wszystkim z budżetu – czyli z podatków. Nie z doraźnych zrzutek, łaski sponsorów czy dobroczynnych uniesień, ale ze stabilnego, politycznie zaplanowanego strumienia pieniędzy. Prawo do leczenia nie może zależeć od tego, czy ktoś pracuje na etacie, prowadzi działalność gospodarczą, jest emerytką, bezrobotnym, studentką albo opiekunem osoby zależnej. Człowiek nie choruje „etatowo”. Choruje biologicznie. A każdy, bez względu na to, czy „jest ubezpieczony”, jest człowiekiem i obywatelem. Powinien mieć dostęp do opieki zdrowotnej. Wiedzą to nawet Amerykanie. Tyle że zniewoleni systemem agresywnego kapitalizmu nie potrafią skutecznie zerwać tych okowów.

Podatki mają tę przewagę nad składką, że można je ustawić według realnej siły ekonomicznej. A realna siła ekonomiczna nie jest dziś domeną pracownika ani zwykłego obywatela. Ta siła jest w firmach, bankach, sieciach handlowych, grupach kapitałowych, korporacjach cyfrowych, spożywczych, alkoholowych, paliwowych i farmaceutycznych. To tam akumuluje się zysk. To one korzystają z naszej pracy w zdrowiu. I to stamtąd powinien płynąć główny strumień pieniędzy na zdrowie publiczne.

Nie chodzi o „duszenie przedsiębiorczości”. Chodzi o rachunek za korzystanie ze społeczeństwa. Firma korzysta z pracowników wykształconych przez publiczne szkoły, z dróg, sądów, infrastruktury, bezpieczeństwa, stabilności waluty i konsumentów utrzymywanych przy życiu przez system ochrony zdrowia. Jeśli z tego korzysta, ma płacić. Nie przez ogłoszenie kampanii „jesteśmy odpowiedzialni społecznie”, nie przez firmowy sponsoring, lecz podatkiem.

Kto psuje zdrowie, płaci więcej

Szczególny ciężar powinien spaść na te firmy, które zarabiają na pogarszaniu zdrowia społeczeństwa albo przerzucają koszty swoich produktów na publiczny system. Światowa Organizacja Zdrowia nazywa to komercyjnymi determinantami zdrowia: działaniami i praktykami firm, które wpływają na choroby, zgony, nierówności zdrowotne i politykę publiczną.

Raport WHO dla Europy z 2024 r. jest tu jednoznaczny: tytoń, alkohol, żywność wysokoprzetworzona, paliwa kopalne i inne szkodliwe praktyki są powiązane z ogromną częścią chorób przewlekłych i przedwczesnych zgonów. WHO szacuje, że owe „komercyjne determinanty zdrowia” odpowiadają w Europie za blisko 7500 zgonów dziennie – około jednej czwartej wszystkich.

To nie jest drobny efekt uboczny zdrowej gospodarki. To jest model biznesowy wystawiający fakturę szpitalom, rodzinom i pacjentom. Koncern sprzedaje słodzone napoje i ultraprzetworzone jedzenie, a system leczy otyłość, cukrzycę, choroby serca i część nowotworów związanych ze stylem życia. To jest klasyczna prywatyzacja zysków i uspołecznienie kosztów. Kiedy zysk jest do podziału, należy do akcjonariuszy. Kiedy przychodzi rachunek zdrowotny, nagle wszyscy jesteśmy jedną wielką narodową rodziną. Bardzo wzruszające, tylko dziwne, że zawsze najbardziej wzruszają się ci, którzy obliczają swoje dochody.

Dlatego podatki i opłaty zdrowotne od branż szkodzących zdrowiu są elementarną sprawiedliwością. Akcyza na alkohol i tytoń, opłaty od cukru, podatki od produktów wysokoprzetworzonych, opłaty środowiskowe, podatki od reklam produktów szkodliwych, daniny od nadmiarowych zysków branż obciążających zdrowie publiczne – to nie są ataki na wolność. To są rachunki za szkody.

Oczywiście sama akcyza nie utrzyma służby zdrowia. Fundamentem musi być szeroki, stabilny budżet: progresywne podatki od dochodów, zysków, majątków, rent monopolistycznych i wielkich korporacji. Ale branże, które zarabiają na ryzyku zdrowotnym, powinny płacić dodatkowo.

Warto spojrzeć na dane.

Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju opublikowała w 2025 r. raport „Health at a Glance 2025”. Według tego raportu Polska przeznaczała na zdrowie 8,1 proc. PKB przy średniej OECD 9,3 proc. W przeliczeniu na mieszkańca było to prawie 4300 dol. według parytetu siły nabywczej, wobec prawie 6000 dol. średnio w OECD. Narodowy Fundusz Zdrowia podał z kolei, że w 2024 r. wartość świadczeń i leków możliwych do przypisania konkretnym pacjentom wyniosła prawie 169 mld zł, o ponad 24,5 mld zł więcej niż rok wcześniej. Około 20 proc. najbardziej potrzebujących pacjentów pochłania około 80 proc. środków na świadczenia i leki. Stu najdroższych pacjentów kosztowało w 2024 r. 357 mln zł.

Niektórzy słyszą te liczby i mówią: „za drogo”. Ja słyszę coś innego: poważna choroba kosztuje poważne pieniądze. Drogie są terapia, aparatura, personel, czas, technologia i opieka. Jeśli chcemy naprawdę leczyć ludzi, musimy to finansować wspólnie.

Ameryka jako ostrzeżenie

Warto porównać Polskę ze Stanami Zjednoczonymi, bo USA są ulubionym mitem wszystkich, którzy wierzą, że więcej rynku automatycznie oznacza większą sprawność. Według OECD w 2024 r. całkowite bieżące wydatki na zdrowie – publiczne, obowiązkowe i prywatne łącznie, bez wydatków inwestycyjnych – wynosiły w USA 17,2 proc. PKB. W Polsce – przypomnijmy – 8,1 proc.

W przeliczeniu na mieszkańca USA wydawały prawie 15 tys. dol. według parytetu siły nabywczej. Amerykanie wydają więc na zdrowie około 3,5 raza więcej per capita niż Polska i znacznie więcej niż średnia OECD. A mimo to ich system jest znany z wysokich kosztów, skomplikowanych ubezpieczeń, rachunków niszczących domowe budżety i skrajnie nierównego dostępu. Trudno powiedzieć, że w Ameryce jest lepiej. To porównanie pokazuje raczej, że prywatno-ubezpieczeniowy chaos nie jest sposobem na tanie zdrowie. Rynek nie usuwa kosztów. On je komplikuje, ukrywa w polisach, dopłatach, rachunkach, wyłączeniach, administracji i zyskach prywatnych inwestorów. Najdroższy system świata nie jest dowodem wyższości rynku. Jest ostrzeżeniem.

Choroba Baumola, czyli dlaczego zdrowie musi drożeć

Jest jeszcze jeden powód, dla którego uczciwa służba zdrowia musi kosztować coraz więcej: to tak zwana choroba kosztów Baumola. Brzmi dziwnie, ale sens jest prosty. W niektórych branżach można szybko zwiększać wydajność dzięki technologii: fabryka produkuje więcej, magazyn sortuje szybciej, program obsługuje milion użytkowników naraz. W ochronie zdrowia tak się nie da.

Lekarz nie zbada rzetelnie pięciu pacjentów jednocześnie. Pielęgniarka nie obsłuży więcej pacjentów w tym samym czasie. Fizjoterapeuta nie przeprowadzi więcej rehabilitacji, niż pozwala na to ciało pacjenta i czas pracy specjalisty.

W zdrowiu czas personelu jest częścią leczenia. Dlatego płace w ochronie zdrowia muszą rosnąć wraz z resztą gospodarki, chociaż „wydajności” nie da się tu podnosić tak jak w fabryce. A zatem kiedy rosną płace w firmach produkcyjnych, rosną też płace w usługach – w tym w zdrowiu.

Koszt opieki zdrowotnej musi rosnąć nawet bez spektakularnej poprawy jakości. Jasne? Ty to rozumiesz. Ale twoje państwo niestety nie. Ludzie odejdą z zawodów medycznych, wyjadą albo będą pracować na kilku etatach, wypaleni, zmęczeni i źle opłacani.

Wtedy system zapłaci jeszcze więcej: kolejkami, błędami, brakiem opieki długoterminowej, przeciążonymi rodzinami i ucieczką do prywatnych gabinetów. Choroba Baumola mówi więc rzecz niewygodną dla „taniego państwa”: dobra służba zdrowia nie będzie tania, bo jest pracochłonna i taka musi pozostać, nawet jeśli w wielu miejscach lekarza wspomoże AI albo automat.

Płace w prywatnej medycynie nie będą mniejsze niż w publicznej. Prywatne abonamenty i ubezpieczenia nie sprawiają, że leczenie stanie się tańsze – wręcz przeciwnie, wykreują zyski na rynkach finansowych. Prywatna opieka zdrowotna przesuwa ciężar kosztów z systemu publicznego bezpośrednio na obywateli.

Choroba Baumola dotyka sektor prywatny tak samo jak publiczny: rosną ceny, wydłużają się kolejki, a abonamenty stają się coraz mniej użyteczne. Nawet pieniądze i znajomości nie pomogą, gdy system publiczny – będący ostatecznym zabezpieczeniem – przestanie działać z powodu wyczerpanych limitów, braków kadrowych albo przeciążonych szpitali. Sektor prywatny może przejąć część prostszych usług, ale nie zastąpi skali państwa.

Nie ma alternatywy

A zatem nie ma alternatywy dla publicznej ochrony zdrowia, ponieważ żadna prywatna organizacja nie jest w stanie zebrać i rozdysponować tak ogromnych środków w sposób solidarny. NFZ można nazwać największą przymusową akcją solidarnościową: finansuje leczenie bez względu na medialność choroby i zasobność portfela pacjenta. Prywatne ubezpieczenia nie są w stanie obsłużyć tysięcy codziennych kosztownych przypadków – zawałów, udarów, sepsy, nowotworów, powikłań, operacji, rehabilitacji, opieki długoterminowej. Wokół większości z nich nie da się zbudować wzruszającej narracji marketingowej ani zbiórki.

Nie zbiórka, tylko mądre, sprawiedliwe prawo. Zbiórki pokazują piękną twarz społeczeństwa i jedną z bardziej paskudnych twarzy kapitalistycznego państwa. Nie po to płacimy podatki, nie po to utrzymujemy instytucje publiczne i nie po to w konstytucji zapisaliśmy prawo do powszechnej ochrony zdrowia, żeby o dostępie do terapii decydowały zasięgi influencera, atrakcyjność historii i siła internetowego wzruszenia.

Potrzeba nam państwa, które zbiera podatki od tych, którzy mogą i powinni je zapłacić, a z tych pieniędzy finansuje leczenie. Niech decyduje potrzeba medyczna, a nie zasobność indywidualnego portfela czy fakt opłacania składki. To jest sens społecznej służby zdrowia: wspólnej, publicznej, budżetowej, opartej na podatkach, szczególnie od tych, którzy mają najwięcej pieniędzy i największy udział w produkowaniu chorób.

Jeśli firmy mogą zarabiać na społeczeństwie, społeczeństwo ma prawo wystawić im rachunek za zdrowie. A jeśli państwo potrafi pobierać podatki od pracy kasjerki i emerytury starego człowieka, to tym bardziej potrafi pobrać je od tych, którzy zarabiają na cukrze, alkoholu, dymie, smogu, stresie, śmieciowym jedzeniu i taniej pracy.

W przeciwnym razie nie będziemy mieli systemu ochrony zdrowia. Będziemy mieli rynek – rynek handlujący złudzeniami.

ANNA GRODZKA

eprasa.pl e7de66dc69

GADMAN

Hej, cokoły!

Żaden z wzniesionych ostatnio pomników nie dał wzrostu powagi politykom odlanym

„Pomnik Tadeusza Mazowieckiego będzie symbolem III RP” – napisał Robert Walenciak w tygodniku „Przegląd”. Przypomniał, że Donald Tusk, obecny premier, zaproponował, aby postawić przed gmachem siedziby polskiego rządu pomnik byłego premiera „pierwszego niekomunistycznego rządu”. Walenciak, świetny lewicowy publicysta, poparł tuskowy pomysł. „To znakomita inicjatywa, jedna z najlepszych w Tuska karierze politycznej. Dobra dla samego Tuska, bo pozwala mu wyjść z politycznej obłości i nijakości, która, jak pokazują sondaże, zupełnie mu nie służy” – uznał.

Zauważa także: „W dzisiejszej polityce potrzebny jest sztandar, sens działania, potrzebni są bohaterowie. Koalicja 15 Października ich nie ma, to dlatego ulega prawicy, napastliwym atakom. Gdyby wiedziała, jakiej Polski chce, sama mogłaby narzucić ton”.

Rozważny i romantyczny

Robert Walenciak uważa, że upamiętnienie Tadeusza Mazowieckiego to „inicjatywa dobra dla Polski. Tej obecnej i tej, która będzie. Dla nas samych”. Widzi w nim lek na trapiące nas wojny polsko-polskie. Pilnie potrzebny, bo „jako społeczeństwo jesteśmy zainfekowani kłótniami, coraz częściej traktujemy życie publiczne jako arenę wywoływania emocji, szczucia na aktualnych wrogów. Sejm nie jest miejscem refleksji, ale awantur i rywalizacji, kto kogo mocniej obrazi. Pojawiają się nowe określenia: oburzing, zaoranie. To wszystko zwyczaje prymitywnej gawiedzi. Polityka przestała być sztuka, stała się awanturą. A refleksja, co z danych działań będzie wynikało, myślenie w kategoriach dłuższych niż najbliższa kampania zupełnie zanikły”.

Na tym tle Tadeusz Mazowiecki jawi się politykiem wzorowym. „Nie był demagogiem ani oszustem. Nie obiecywał gruszek na wierzbie. Nie dzielił, tylko szukał porozumienia. Myślał w kategoriach interesu Polski, a nie partyjnego”. Może być symbolem innego niż teraz dominujący stylu prowadzenia polityki. Rozważnej, nieagresywnej i w dłuższej perspektywie skutecznej.

Taki pomnikowy Mazowiecki może być symbolem III Rzeczypospolitej. Tolerancyjnej, związanej z kulturą i demokracją Zachodu. O takiej Polsce marzyli Polacy doświadczeni wojną, potem pokolenia Polski Ludowej, która dała części obywateli wielką szansę. Tworzenia nowoczesnego społeczeństwa. Byli oni czasem taką Polską zachwyceni, czasem rozczarowani. Bo była to Polska o niepełnej suwerenności, deficytu demokracji i towarów w sklepach.

„Stąpałem po cienkim lodzie” – wspominał Tadeusz Mazowiecki czas, kiedy był premierem. Romantyzm budowy nowej Polski i rozwagę wobec zagranicznego otoczenia. Wtedy przecież ciągle istniał ZSRR, działał Układ Warszawski. Państwa Zachodu wolały utrzymać Polskę w przedpokojach europejskiej wspólnoty i NATO.

Prawdą też jest, że tamten Mazowiecki nie pasuje do dzisiejszej polityki. „I dlatego Mazowiecki powinien mieć pomnik” – na przekór zachęca do jego odlania Robert Walenciak.



Rys. BARTŁOMIEJ BELNIAK

Pomnik złej intencji

Zupełnie inaczej inicjatywę premiera Tuska postrzega Konrad Kołodziejski. Publicysta prawicowego tygodnika „Sieci” uważanego za organ polskich kaczystów.

Kołodziejski z przekąsem przypomniał, że premier Tusk ogłosił swój pomnikowy pomysł w czasie święta Bożego Ciała. Aby jedynie odwrócić uwagę opinii publicznej od swych „beznadziejnych rządów”. „Nie oszukujmy się, nie chodzi przecież o jubileusz” setnej rocznicy urodzin Tadeusza Mazowieckiego. Kołodziejski wyjaśnia, że w przyszłym roku mamy parlamentarne wybory. Dlatego premier Tusk szuka „nowego paliwa, aby podgrzać emocje w społeczeństwie”. Przypomina, że odsłonięcie tego pomnika ma być wstępem do hucznego świętowania obchodów rocznicy wyborów 4 czerwca 1989 r. Wtedy premier Tusk chce zorganizować wielki marsz swych zwolenników. Taka ich mobilizacja plus pomnikowy Mazowiecki i hasła obrony III RP to dowody, że obecna koalicja rządząca nie ma „żadnego pomysłu na Polskę. Dlatego „jedyną ideą Tuska i jego otoczenia jest nieustanne wyciąganie na światło dzienne starych upiorów, aby bez końca straszyły ludzi i wywoływały konflikty” – pryncypialnie zauważa Kołodziejski.

Uważa, że pomnikowy Mazowiecki może być ważny jedynie dla „wyborców w podeszłym wieku, którzy do dziś żyją dawnymi sporami. Może też dla beneficjentów transformacji lat 90. Na pewno nie dla młodych”. Proponowany pomnik to też dowód, że Tusk jest „mentalnym dinozaurem”, a „jego rządy stopniowo osuwają się w bezpłodna gerontokrację”.

Kołodziejski demaskuje też podstępny charakter tej inicjatywy: „Pomnik Mazowieckiego to polityczna pułapka na liderów narodowej prawicy”. Premier Tusk w swym filmiku publicznie i cynicznie zaprasza do komitetu budowy pomnika wszystkich byłych premierów. „Jarosław chyba nie odmówi?” – zachęca szyderczo. A przecież świadom jest, że premier Kaczyński i byli premierzy Szydło i Morawiecki nigdy nie wejdą do obozu świętującego „budowę oligarchicznego układu z postkomunistami”.

Zgody nie będzie

Nietrudno zauważyć, że nie będzie ponadpodziałowej zgody w intencji postawienia Tadeusza Mazowieckiego na cokole. Konrad Kołodziejski daje nam już przedsmak przyszłorocznych kłótni. Przypomniał opinie, że to Donald Tusk doprowadził do rozbicia Unii Wolności, środowiska politycznego Tadeusza Mazowieckiego, co przyśpieszyło „wyrzucenie Mazowieckiego na margines polskiej polityki”.

Dodatkowo jako publicysta i polityk Mazowiecki nie był nieskazitelny. W młodości uczestniczył w medialnej nagonce na represjonowanego w czasach stalinowskich biskupa Czesława Kaczmarka. Jako premier współtworzył nowy, oligarchiczny układ starej postkomuny z nowymi elitami warszawskich salonów.

Pełnej zgody co do oceny najnowszej historii i genezy III Rzeczpospolitej może też nie być w politycznym obozie odlewającym pomnik. Zauważył to też Robert Walenciak. Bo kiedy premier Tusk mówił, że 4 czerwca będzie „symbolem naszego zwycięstwa nad komunizmem”, to aż prosi się przypomnieć mu, że politycznie „komunizm sam się odwołał”. Ówczesna strona solidarnościowa, siadając do Okrągłego Stołu ze stroną partyjno-rządową, zaakceptowała kompromisowe porozumienie. Symbolicznego zdobywania polskiej Bastylii ani realnego gilotynowania partyjnej nomenklatury nie było. Także dlatego, że premier Mazowiecki zaakceptował politykę zgody i abolicji. Za co został znienawidzony przez prawicowych ultrasów.

Wojna na pomniki

Dlatego postawiony na cokole premier Tadeusz Mazowiecki zgody narodowej nam nie uczyni. Nie przeprowadzi polskich elit politycznych i medialnych z frontu wojen polsko-polskich do krainy politycznej łagodności i merytorycznych debat.

Dwa największe ugrupowania polityczne, KO i PiS, prowadzą swą politykę w podobnym stylu. Prezes Kaczyński proponuje nam obronę granic przed hordami emigrantów i banderowców. I zleca to zadanie patriotycznej młodzieży pod przewodem Roberta Bąkiewicza. Premier Tusk jako alternatywę proponuje obronę III RP. Także przed bojówkami Bąkiewicza. Nominacji na wodza obrońców III RP jeszcze nie znam.

Upomnikowienie premiera Mazowieckiego to otwieranie kolejnego sporu w wojnie polsko-polskiej na froncie polityki historycznej. Eskalacja, a nie wygaszanie sporu. Polska kultura polityczna i uprawiany styl polityki nie poprawią się od tego.

Tadeusz Mazowiecki być może dorobi się pomnika. Wtedy na pewno zostanie masowo splugawiony przez prawicowych hejterów w internecie. Dotychczasowe rzucane na niego polityczne obelgi jak „Siła spokoju”, „Żółw”, „Mazower” będą brzmieć jak komplementy.

W Polsce, a zwłaszcza w Warszawie, mamy pod dostatkiem pomników byłych polskich polityków. Każdy z nich śmiało może startować w światowych konkursach na najbrzydszy pomnik. Żaden z nich nie spowodował wzrostu miłości i poważania dla polityka odlanego na cokole.

W 2022 r. odsłonięto już przed siedzibą rządu RP pomnik byłego premiera Jana Olszewskiego. Szkaradny jak inne. Nie jest miejscem masowych pielgrzymek. Zapewne gdyby niedaleko stanął pomnik premiera Tadeusza Mazowieckiego, to zmobilizowałby wojujące strony. Narodowi patrioci demonstrowaliby się przy Olszewskim, a europejscy demokraci przy Mazowieckim. Pracujący dla kolejnych rządów urzędnicy mieliby nieustający festiwal wrzasków i wyzwisk.

PIOTR GADZINOWSKI

PS Tadeusza Mazowieckiego miałem przyjemność poznać po ludzku. Jako już polityka byłego. W trakcie wielowątkowej rozmowy przypomniałem mu, że wśród polskich żydożerców zwany był też „Tadeuszem Judą”.

W mitologii chrześcijańskiej św. Tadeusz Juda to patron od spraw trudnych i beznadziejnych. Dzień św. Tadeusza Judy obchodzony jest 28 października. W tym dniu w roku 2013 zmarł Tadeusz Mazowiecki. Pomimo tego „znaku bożego” nadal nie uwierzę, że pasowany na świeckiego świętego, wyniesiony na cokół Tadeusz Mazowiecki uczyni cuda i zakończy polityczną wojnę polsko-polską.

Sami swoi

Po aferze Kacprzyka najbardziej w dupę dostanie jak zwykle pacjent

Nie milkną echa afery platformianego lekarza-milionera. Tusk się wściekł, w stołecznym Szpitalu Południowym lecą głowy i główki, a politycy wszystkich opcji prześcigają się w pomysłach, jak odsunąć lekarzy od koryta. Nie ma się z czego cieszyć. Wbrew pozorom pacjenci wcale na tym nie skorzystają. Co więcej, Ministerstwo Zdrowia zaprojektowało przepisy, które część patologii zabetonują na amen.

Polityczny incydent

Od kilkunastu dni media grzeją temat Dawida Kacprzyka, aktualnie eksradnego warszawskiej dzielnicy Ursus, ekscczłonka KO i byłego koordynatora SOR-u w Szpitalu Południowym. 29-latek w trakcie specjalizacji z anestezjologii wykręcił w ubiegłym roku 1,6 mln zł z czterech publicznych placówek medycznych. Był na tyle obrotny, że czas pracy lekarza łączył z aktywnością polityczną i celebrycką. Np. 30 kwietnia pełniąc (według grafiku) całodobowy dyżur medyczny, udzielał wywiadu w studiu TVP Warszawa. Kacprzyk miał też załatwiać partyjnym kolegom szpitalną diagnostykę w trybie pilnym, trzymając ich z dala od plebsu w vipowskim saloniku.

Gęste wypłynęło na podstawie oświadczenia majątkowego, które złożył jako radny miejski. Na okoliczność gorącego politycznie kartofla sejm ekspresowo uchwalił ustawę, która pozwoli powiązać informacje o zarobkach medyków z numerem PESEL lub numerem prawa wykonywania zawodu. W trosce o koszty wynagrodzeń ponoszonych przez NFZ europoseł KO Michał Szczerba wysunął koncepcję nowelizacji ustawy o minimalnych wynagrodzeniach dla pracowników medycznych. Premier Tusk nazwał system „zwyrodniałym i nastawionym na śrubowanie zarobków”. Zwrócił się też do Najwyższej Izby Kontroli o zweryfikowanie miejsc, dokąd płyną publiczne pieniądze na ochronę zdrowia. Można rzec, klasyka gatunku: medialne ścinanie głów i zapowiedź reform, które uderzą w medyczne bizancjum. Srali muchy...

Po pierwsze i bez kontroli NIK polityczna wierchuszka wszystkich opcji partyjnych doskonale wie o wystrzelonych w kosmos zarobkach części lekarzy. Powód jest prosty: kolejne rządy latami budowały tę patologię, a za każdego zdarzały się incydenty podobne do afery z Kacprzykiem. Żeby było mniej śmiesznie, krótko przed „Kacprzykgate” resort zdrowia wysmarował projekt nowelizacji ustawy, która może solidnie ustawić samych swoich ze środowisk polityczno-lekarskich.

Kowal zawinił...

Możliwość prześwietlenia lekarskich zarobków po numerze PESEL i PWZ nie sprawi, że Kowalski będzie miał wgląd w finanse łapiducha, który mu zagląda w uszy czy dupę. To, ile kosztuje trepanacja czaszki czy usunięcie wyrostka, ustala Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji (AOTMiT). Na koszt procedur składa się wszystko: od prądu przez materiały po koszt operatora, czyli lekarza. Do tej pory było tak, że jeśli szpital raportował o np. 2 mln zł przeznaczonych na pensje chirurgów, agencja nie wiedziała, czy kwota obejmuje 10 etatowych pracowników, czy może dwóch na kontrakcie. Dzięki precyzyjnym danym AOTMiT będzie mogła ocenić, czy wysokie koszty personelu w placówkach wynikają z realnego braku rąk do pracy (co zmusza do podbijania stawek), czy z tego, że ta sama wąska grupa lekarzy rotuje między placówkami, dyktując monopolistyczne ceny. Brzmi rozsądnie. Na marginesie – o ponowną wycenę procedur od lat wnioskowali sami medycy. Budżet NFZ nie jest z gumy, są procedury przeszacowane i niedoszacowane. Tym sposobem pacjent na internie generuje straty dla placówki, natomiast na takim, który potrzebuje np. zabiegu z kardiologii interwencyjnej, szpital już może zarobić.

Najlepiej wyceniane procedury są realizowane taśmowo, bo od lat stanowią główne źródło zysków szpitali. Tak też powstają słynne kominy płacowe. Powiatowych szpitali nie stać na etat dla wysokiej klasy specjalisty. Etatowca obowiązuje kodeks pracy, co oznacza mniejszą liczbę godzin przy naprawianiu pacjentów. Kontraktowiec takich ograniczeń nie ma. I tak to się kręci. Dlatego szpitale tłuką się o speców konkretnych specjalizacji i kuszą dużą kasą.

Teoretycznie nowy cennik mógłby zmienić tę dysproporcję i ściąć kosmiczne pensje medyków, żeby dołożyć forsy gdzie indziej. Ale czy aby na pewno?

... lekarza powiesili

Chwilę przed eksplozją szamba z Kacprzykiem Ministerstwo Zdrowia wpadło na pomysł, jak dokooptować lekarzy do szpitali, w których mało kto chce pracować. Resort dla wyrównania dysproporcji kadrowych zaproponował w projekcie nowelizacji ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentysty nowy system przydziału rezydentur.

Rezydentura to etatowa praca lekarza po studiach i stażu, który zdobywa

eprasa.pl e7de66dc69

Panowie Ukraińcy kontra polskie pany

Wojna na ordery

Trwający od dwóch tygodni polsko-ukraiński konflikt orderowy sprawił, że połowa naszych rodaków uniosła się dumą i kibicuje Karolowi Nawrockiemu w obronie naruszonej przez Wołodymyra Zełenskiego polskiej czci i pamięci.

Chociaż w istocie nic szczególnego się nie stało.

Od dawna wiadomo, że współczesna Ukraina pod wpływem swej zachodniej części otacza czcią pamięć OUN i UPA. Za ich bohaterską i pełną ofiar walkę z Rosją radziecką. Innej porównywalnej tradycji niepodległościowej z czasów najnowszych Ukraina nie ma. Stąd niepowodzenie polskich, a także rosyjskich prób wybicia Ukraińcom z głowy kultu Bandery i UPA. Zwłaszcza Ukraińcom z obszarów zachodnich, którzy od czasów rewolucji majdanowych przejęli tam rządy dusz. Decyzja Zełenskiego w sprawie nadania imienia UPA jednej z wojskowych jednostek, zresztą na jej prośbę, nie powinna dziwić – choć może oburzać. Może jednak dziwić zapał i poczucie urażonej dumy, jakie ogarnęło połowę naszego narodu.

Okazało się, że znaczna część naszych obywateli – wraz z prezydentem – żywi nabożną iście cześć do symbolu, jakim jest Order Orła Białego (OOB). Dostrzega w nim uosobienie godności narodu. Historia tego orderu i zresztą jego odpowiedników w innych państwach europejskich tej nabożnej czci nie usprawiedliwia.

Nasze najwyższe państwowe odznaczenie ma ponad 300 lat. Laureatami zostało ponad tysiąc krajowych i kilkaset zagranicznych osób. Lektura tej listy – zwłaszcza zagranicznej – prowadzi do smutnego wniosku. Co najmniej połowa odznaczonych nie przynosi orderowi chwały, a wręcz przeciwnie.

Czasy saskie (kilkadziesiąt nominacji) obficie orderują tym orderem otoczenie i następców Piotra I Wielkiego – z jego kumplem pijackim Mieńszykowem oraz ostatnią żoną Katarzyną I, a także plejadą potomków. Ozdobą listy w czasach stanisławowskich pozostaje sama cesarzowa Katarzyna II z jej ambasadorem Nikołajem Repninem oraz feldmarszałkiem Aleksandrem Suworowem (rzeź Pragi). Także król pruski Fryderyk Wielki.

Czasy Królestwa Kongresowego – kiedy dysponentami orderu pozostawali cesarze rosyjscy Aleksander I i Mikołaj I – oczywiście i niemal wyłącznie preferują dygnitarzy rosyjskich. Takich m.in. jak Aleksander Bibikow, minister i partner karciany Mikołaja I. Wsławiła go anegdota. Mikołaj: *„A ty, Bibikow, kogdaniebut proczitał kakoje niebut fiłosofskoje proizwiedienije?”*. Bibikow: *„Nikak niet, Wasze Imperatorskoje Wieliczestwo. Boh chranił!”*.

Odznaczeni zostali też feldmarszałkowie Iwan Dybicz i Iwan Paskiewicz – za pokonanie powstania listopadowego. Z Polaków zaś generał Józef Zajączek.

W czasach II Rzeczypospolitej nie do przebicia pozostanie odznaczenie Benita Mussoliniego, dyktatora Włoch. Po wznowieniu orderu w 1992 r. wyróżnić warto odznaczenie nim Gerharda Schröedera, kanclerza Niemiec, a później przewodniczącego Rady Gazpromu.

To tylko niewielka próbka laureatów.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Nasuwa się wniosek. Ten najważniejszy polski order w wymianie międzynarodowej – sądząc po doborze laureatów – jawił się nie tyle ucieleśnieniem chwały Rzeczypospolitej, co po prostu wysokiej rangi i niskich kosztów prezentem państwowym, którym obdarzano wyróżnionych obywateli własnych oraz stosownych sąsiadów i gości zagranicznych. I zgodnie z tradycją sztuki prezentowej darów nigdy nie odbierano. Katarzynie II i Mussoliniemu też.

Zełenski miał pecha. Wszyscy jego poprzednicy stopniowo budowali kult UPA. Wszyscy też – z wyjątkiem Janukowycza – dostali mimo to Order Orła Białego. Dopiero on trafił na Nawrockiego i order stracił. Trudno się dziwić, że pozostali też swych orderów się zrzekli.

Niektórych polskich komentatorów oburzyło dodatkowo nonszalanckie potraktowanie insygniów orderu przy odesłaniu – pocztą kurierską, bez należnego szacunku. Niestety, to już raczej wpływ obyczajowości zachodniej. Tam kult odznak i orderów – poza bitewnymi – dawno już wygasł. Legię Honorową we Francji z reguły wysyła się pocztą, często na koszt odbiorcy. Anglicy zaś, znani z rzeczowości i specyficznego poczucia humoru, od stuleci utrzymują zabawną nazwę swego najwyższego odznaczenia: Order Podwiązki (The Most Noble Order of the Carter).

W sumie OOB, jak większość podobnych odznaczeń, praktycznie nigdy nie był odbierany – jak każdy prezent. Owszem, mógł go odebrać sąd, ale nieliczne grono krajowych posiadaczy czyniło to mało możliwym, a w stosunku do zagranicy – wręcz nieprawdopodobnym.

Owszem, były rzadkie – ale wymowne – przypadki odmowy przyjęcia OOB. W 1793 r. odmówił Tadeusz Kościuszko, a w naszych czasach Jerzy Giedroyc. Natomiast w 1932 r. po procesie brzeskim pod naciskiem władz sanacyjnych sąd odebrał order Wincentemu Witosowi. Decyzję tę uchylono w 1939 r. Zełenski to drugi przypadek, znalazł się w dobrym towarzystwie.

Odebranie orderu Zełenskiemu wywołało jednak poważny kryzys w relacjach polsko-ukraińskich, podzieliło opinię w obu narodach i opinię międzynarodową. Motywacja też doczekała się spornych ocen, ociera się bowiem o ingerencję z zewnątrz w stosunki wewnętrzne Ukrainy. Warto zauważyć, że w Ukrainie racje Zełenskiego poparło w sondażach aż 95 proc. badanych, podczas gdy w Polsce po stronie Nawrockiego stanęło jedynie 53 proc. Opinia światowa jest bardziej jeszcze podzielona. Kwestia, czy w obecnej sytuacji wojny rosyjsko-ukraińskiej konflikt ten leżał w polskim interesie, pozostaje zatem otwarta.

Inna kwestia historyczna w tej sytuacji też zasługuje na przypomnienie. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że w pierwszych latach po I wojnie światowej polski rząd mógł zapobiec powstaniu Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i w konsekwencji UPA. W 1919 r. w Paryżu, zaraz po zawarciu traktatu wersalskiego, w którym przywracano polską niepodległość i ustalano polskie granice, mocarstwa zwycięskie uchwaliły drugi traktat wersalski – zwany małym – w którym zobowiązały Polskę w tych nowych granicach do poszanowania licznych w niej mniejszości narodowych i zwłaszcza do przyznania autonomii Ukraińcom. Polska niechętnie, ale traktat ten podpisała.

Na razie stosunki polsko-ukraińskie zapowiadały się dobrze, Piłsudski zawarł bowiem z Symonem Petlurą układ o wspólnej walce z Rosją Radziecką m.in. o niepodległość Ukrainy. Niestety, w tej kwestii wojna 1920 r. zakończyła się remisem. Swoją niepodległość Polska obroniła, ukraińskiej nie zdołała. Ukraina został podzielona, Galicja i Wołyń pozostały w Polsce, reszta w ZSRR. Piłsudski żegnał się z oficerami armii Petlury salutem i smutnym: „Panowie Ukraińcy, ja was serdecznie przepraszam!”.

Następne 10 lat Ukraińcy czekali na realizację małego traktatu wersalskiego. Nie doczekali się, Polska budowała państwo tylko dla Polaków.

Zlikwidowano dość liczne w czasach austriackich szkolnictwo ukraińskie w Galicji. Nie zezwolono na uniwersytet ukraiński we Lwowie. Wyrugowano Ukraińców z administracji lokalnej. W czteromilionowej społeczności wzbierała nienawiść i bunt, zwłaszcza wśród młodych.

W 1930 r. w Wiedniu pod niemieckim patronatem zawiązała się antypolska terrorystyczna Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). Zaczęły się zamachy terrorystyczne. Zginęło kilkudziesięciu polskich urzędników państwowych, w tym dwóch znacznych: Tadeusz Hołówko i Bronisław Pieracki. Rząd odpowiedział sądami doraźnymi i szubienicami. Stracono kilkudziesięciu nacjonalistów, setki poszły do więzienia. Wojsko brutalnie pacyfikowało ukraińskie wsie.

Tak dojrzewał Wołyń. Wybijali tam polskie wsie nacjonaliści ukraińscy z Galicji. U siebie w domu mniej się srożyli, gdyż na przeszkodzie stała cerkiew unicka, katolicka, którą kierował w istocie Polak, wnuk Aleksandra Fredry i brat generała Stanisława Szeptyckiego, arcybiskup hrabia Roman Andrzej Szeptycki. Prawosławnych na Wołyniu nie miał kto bronić. Ta zbrodnicza czystka etniczna cieszyła jedynie Moskwę, podobnie jak teraz. Ktoś za nich i dla nich robi czarną robotę.

W dyskusjach o tych wydarzeniach z Ukraińcami nieobecny jest jeden argument. To była zbrodnicza czystka etniczna. Ale też niebywała głupota. A jak mawiał Talleyrand: głupota w polityce to gorzej niż zbrodnia. W lipcu 1943 r. Niemcy przegrali na łuku kurskim ostatnią swą próbę odzyskania inicjatywy strategicznej. Wojna na wschodzie została przez Wehrmacht definitywnie przegrana. Stało się oczywiste, że za rok Rosjanie staną już nad Wisłą. Zagrożą bezpośrednio zarówno Ukraińcom, jak i Polakom.

Historia lubi się powtarzać. Za drugim razem, z reguły, już w karykaturze.

M.Z.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Z każdym wschodem słońca zbliżał się do Grunwaldu Robert z Bąkowa, a wraz z nim tuzin giermków, sług i pachołków.

– Oj, zadamy Krzyżakom bobu – wygrażali pięściami, w których zamiast mieczy ściskali drewniane krzyże. – Pokonamy ich ich własną bronią.

– Ich, ich… *Ich hasse dich* – szwargotał Robert, jego koń za to parskał czystą polszczyzną.

– Ja ukrzyżuję Krzyżaka na krzyżu, aż mu kręgosłup trzaśnie – zapowiedział jeden z giermków, garbaty jak dzwonnik z Notre Dame.

– Ja, ja… – dodał Robert.

– A ja przypiekę któregoś na palenisku i skórka mu się zarumieni. – Inny sługa wypiął rachityczną pierś. – Jak ja tych Krzyżaków nienawidzę!

– Połamiemy im nożyska i ręce, a łby obijemy jak kawony!

– Odrąbiemy im paluchy!

– Wyłupimy ślepia!

– Obetniemy uszy!

Na takich rozmowach schodziła im wędrówka. Od sioła do sioła, borami, polami i bezdrożami. A gdy mieli się pokładać wieczorami ze zmęczenia, czuli jeszcze siłę, żeby pić okowitę i śpiewać „Bogurodzicę”.

– Kyrie eleison – mruczał Robert z Bąkowa.

– W Polszcze śpiewamy po polsku – upomniał go koń, z wysiłku bliski ochwacenia.

– Jebać, jebać hitlerowców. – Rycerz zmienił język na patriotyczny. – Jebać Niemców, szwabów, szkopów i pedałów.

Słudzy przerwali pieśń.

– Dlaczego pedałów? – zapytał ten z rachityczną piersią. – Macie coś do pedałów, panie?

Robert z Bąkowa spojrzał w prawo, potem w lewo. Wstrzymał oddech… Nerwowo zaczął siodłać konia.

– Co wam przeszkadzają geje, panie? – spytał inny pachołek. – Myślicie, że w drodze na Grunwald tak łatwo o białogłowy? Wszyscy jesteśmy zdrowi…

Garbaty giermek chrząknął.

– Prawie wszyscy jesteśmy zdrowi i swoje potrzeby mamy – poprawił się sługa z rachityczną piersią. – Dlatego nie pozwolimy na gejów złego słowa powiedzieć.

Ale tego rycerz już nie słyszał. Mknął jak wiatr tam, gdzie go koń ponosił, choćby do Berlina.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

specjalizację w wybranej dziedzinie medycyny. Jest to równocześnie lekarz zatrudniony na umowie o pracę oraz uczeń, który szkoli się pod okiem doświadczonych specjalistów. Nauka – w zależności od dziedziny medycznej – trwa od czterech do ośmiu lat, sponsoruje ją MZ. Nikogo zapewne nie zdziwi, że młodzi medycy ciągną do najlepszych ośrodków w dużych miastach. Małe szpitale powiatowe lub regionalne często nie wykonują ultraskomplikowanych procedur ani rzadkich operacji. Im lepszy ośrodek, tym bogatsze szkolenie. Póki co o tym, czy lekarz dostanie się na wymarzoną rezydenturę, decyduje przede wszystkim wynik egzaminu lekarskiego LEK i sam rezydent. System centralnej rekrutacji elektronicznej działa rankingowo: bierze na warsztat lekarza z najwyższym wynikiem, dolicza punkty za publikacje naukowe etc. i tworzy listę narybku. Pulę wszystkich rezydentur ustala MZ na podstawie list życzeń wojewodów. Rzuca kasę na określoną liczbę rezydentur w województwie, a szpitale z akredytacją konkurują, żeby lekarz z najlepszym wynikiem egzaminu wybrał właśnie ich placówki. Wskutek tego ośrodki w dużych miastach zapełniały wakaty z palcem w dupie, a lecznice powiatowe zostawały z niczym. Resort zdrowia zamierza to zmienić.

Projektowane przepisy zakładają, że o tym, dokąd trafi rezydent, zadecyduje wojewoda na podstawie braków kadrowych w regionie. Kiedy stwierdzi, że w szpitalu wojewódzkim jest np. za dużo kardiologów, przekaże miejsce rezydenckie do placówki w pipidówie. Jeśli ktoś myśli, że dobrze tak tym lumpom wykształconym za nasze podatki, to bardzo się myli. Na rynku medycznym oprócz szpitali publicznych są jeszcze inni gracze, którym opłacana z państwowych pieniędzy siła robocza jest bardzo przydatna. Są nimi prywatni operatorzy, czyli medyczne sieciówki, które podpisują kontrakty z NFZ.

Architektura układu

Prywatne sieci szpitali, które mają umowy z krajowym płatnikiem, działają przede wszystkim na zysk. Lekarz rezydent to dla takiej placówki złoty interes, wszak jego pensję w całości pokrywa budżet państwa. Prywatne lecznice wybierają z rynku przeszacowane przez AOTMiT i bezpieczne procedury. Mówiąc obrazowo, leczą to, co leczyć się opłaca. W przypadku, gdy klinika nie dostanie rezydentów z nadania wojewody, będzie musiała zatrudnić lekarzy w trybie pozarezydenckim, czyli podpisać z nimi kontrakty komercyjne. MZ stoi na stanowisku, że podstawą decyzji wojewody mają być sztywne mapy potrzeb zdrowotnych. Urzędnik teoretycznie nie będzie mógł dać miejsca tam, gdzie wskaźniki pokazują nadmiar lekarzy do danej specki. Dowcip polega na tym, że wspomniane potrzeby w wielu regionach są tak ogromne i wieloaspektowe, że dane statystyczne można zinterpretować w bardzo dowolny sposób.

Czy gigantyczne, zdywersyfikowane holdingi medyczno-finansowe będą miały pokusę na małe lobbowanie u wojewodów? Jeszcze jak! Medyczne molochy doskonale wiedzą, że bez ich infrastruktury publiczna ochrona zdrowia w kraju natychmiast by się załamała.

Czy jest to kartą przetargową dla nieobniżania stawek przez AOTMiT? Niech każdy odpowie sobie sam.

Jeśli silne lobby prywatne obroni wysokie wyceny procedur dla siebie, lokalne układy w szpitalach państwowych wykorzystają te stawki, by w uznaniowym systemie rekrutacji zabetonować lukratywne posady dla swojaków. System weryfikacji po PESEL-u, zamiast wykrywać nadużycia, po prostu zalegalizuje ten stan rzeczy jako standard rynkowy, spychając lekarzy bez układów oraz szpitale powiatowe na finansowy margines.



Rys. JANUARY

Nowy system nie zlikwiduje patologii, lecz ją sformalizuje. Zderzenie dwóch reform przeprowadzonych od dupy strony doprowadzi do sytuacji, w której państwowy regulator i system rekrutacji staną się narzędziami do transferu publicznych pieniędzy do zamkniętych enklaw – prywatnych i państwowo-rodzinnych. Najpewniej liczonych w wielu Kacprzykach.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl e7de66dc69

Binarny Władek

Minister obrony zysków, zygot i przywilejów Kościoła

Wicepremier i minister obrony narodowej Władysław Kosinak-Kamysz robi karierę jako patriota, polski katolik i lobbysta zbrojeniówki oraz rolniczego biedabiznesu. Medialną młóckę wokół różnych problemów, które sobie stwarza tzw. klasa polityczna, wykorzystuje po to, by się pozycjonować wśród innych łowców głosów wyborczych. Finał ten sam od dekad: problemy społeczne – rozwiązania aspołeczne; probiznesowe i podtrzymujące tradycjonalizm. Tak jest obecnie ze stopniową prywatyzacją służby zdrowia, z podnoszeniem drugiego progu podatkowego bez zmiany jego regresywnego charakteru, z dostępnością aborcji, ze związkami partnerskimi, z finansowaniem Kościoła katolickiego czy budową fortu Polanda. Korzystając z pozycji obrotowego na scenie politycznej, Binarny Władek pełni rolę furtiana polskiego skansenu na peryferiach kapitalizmu made in USA.

Organizator partyjnej trupy rolbiznesu

PSL przez ostatnie dekady był związkiem zawodowym polskiej klasy farmerskiej i obsługujących ją specjalistów. Jego członkowie obsiadają różne agencje i fundusze. Tych posad jest 31 tys. Teraz do spółki z sojusznikami z koalicji PSL próbuje poszerzyć elektorat o głosy pozostałych rodzimych przedsiębiorców na miarę naszych możliwości. Troszczy się o ich dochody (czyt. obniżkę podatków), o przestrojenie parametrów opłacalności produkcji, zwłaszcza rolnej.

Jak wszyscy reprezentanci rodzimych januszexów nigdy nie mówi, jak oni by sobie radzili np. na samotnej wyspie: bez wynalazków minionych pokoleń, bez infrastruktury, której sami nie zbudowali, a często też nie współfinansowali. I przede wszystkim bez pracowników. Skoro korzystają z dorobku całej wspólnoty życia i pracy, sprawiedliwe jest, by zatrzymywali dla siebie najwyżej kilka procent wartości dodanej, którą rzekomo wytwarza ich magiczna przedsiębiorczość. Złączona przecież z pracą – coraz gorzej opłacaną, czemu sprzyja zatrudnianie na niewolniczych warunkach imigrantów. Ich Bąkiewicz nie zatrzymuje. Tak to nadwiślański liberał w ludowym kostiumie zakłamuje podstawową kwestię sprawiedliwego podziału wytworzonej w kraju nadwyżki, kwestię opodatkowania dochodów i dziedziczonych majątków.

Gdyby naprawdę chciał pomóc rodzimym farmerom, szukałby możliwości współdziałania z międzynarodową organizacją Via Campesina. Ona wie, co w trawie piszczy. Działa od 1993 r. w ponad 50 krajach. Stara się rozbić oligopole w produkcji żywności. Droga do tego daleka, bo np. wymaga zakazu spekulacji podstawowymi produktami spożywczymi na giełdach. Do tego trzeba dodać zakaz przejmowania ziem uprawnych na globalnym Południu przez fundusze hedgingowe.

Nibylekarz

Jak niewiele w sporach światopoglądowych znaczy wiedza naukowa, świadczy stosunek tego byłego lekarza – doktora nauk medycznych – do kwestii aborcji. Nie potrafi on już odróżnić zygoty i płodu od dziecka. Potrafi za to upajać się świętością życia.

„Dziecko poczęte" poczęło się w głowie religijnych oszołomów. Chłopek roztropek krakowskim targiem wybiera jako drogowskaz nauczanie Kościoła – „życie zaczyna się od poczęcia" – wykazując przy tym daleko idącą niekonsekwencję. Skoro mniej więcej połowa tych „dzieci" kończy żywot od paru dni do parunastu tygodni po poczęciu – w wyniku niezagnieżdżenia się zarodka, samoistnego poronienia etc. – może odpowiedzialny przed swoim sumieniem „obrońca dzieci poczętych" powinien zadbać o to, co robią z podpaskami wierne żony i córki Kościoła?



Rys. MARCIN CHUDZIK

Główną wartością moralną jest życie ludzkie. To oczywiste. Ale czasami trzeba wybrać między życiem matki a zygoty czy płodu; między dobrem dzieci już narodzonych a przechodzącą różne fazy rozwoju nową istotą. Tyle dylematów przynosi proza życia, a kobieta to nie inkubator. Sama rozstrzyga w swoim sumieniu, co jest mniejszym złem. Tym bardziej że słabną nakazy religii w sprawie związków partnerskich jednopłciowych czy mieszanych, aborcji czy rozwodów, o czym wie najlepiej wierny (ale bez przesady) syn Kościoła.

Pieniądze przykryte sutanną

Jednym z ważnych tematów kampanii wyborczej było zaprowadzenie przejrzystości w przepływach między budżetem państwa a Kościołem katolickim i jego przybudówkami. W nowym rządzie uporządkowanie tych relacji spoczęło na barkach wicepremiera Kosiniaka-Kamysza.

Pewne postępy widać w sprawie ograniczenia roli religijnej indoktrynacji w szkole – chociażby przez ograniczenie liczby lekcji religii. Cisza natomiast zaległa nad rozmowami w sprawie finansów Kościoła: funduszu kościelnego, opodatkowania dochodów, dysponowania przez przykościelne fundacje publicznymi funduszami, finansowania szkolnych lekcji religii czy kapelana szumiącego dokoła lasu.

Czyżby budowa fortu Polanda i powiększania uprawnień żołnierzy do użycia broni na granicy zajmowały tyle czasu? To przecież też twarda materia budżetu i wyboru priorytetów, np. czy w szpitalu ważniejszy jest nowoczesny sprzęt, czy kaplica i jej personel. Kościelna posługa „prawdzie i wartościom" interesuje coraz mniej ludzi – w końcu także w Polsce.

Obrońca Festung Europa

Wrażliwy obrońca „dzieci poczętych", pełen frazesów o miłości bliźniego, topi publiczne fundusze na wielomiliardowe kontrakty na latające i pływające zabawki, na armaty i naboje do nich. To zwykle broń – w najlepszym razie – składana w Polsce z zagranicznych komponentów. Te zakupy niczym w supermarkecie mają zapewnić rodakom bezpieczeństwo. Władek jednak wyraźnie nie rozumie istoty i wagi kluczowych problemów świata, od których to bezpieczeństwo ostatecznie zależy. Ekipa strażników „wolnego świata" w koalicyjnym rządzie nadwiślańskich liberałów liczy na to, że strzelanie do migrantów na granicy Festung Europa rozwiąże globalny problem ludzi zbędnych?

Tego problemu nie da się rozwiązać „na Bosaka". Jak naucza Mickiewicz: „Kto nie wyjdzie z domu, aby zło znaleźć i z oblicza ziemi wygładzić, do tego zło samo przyjdzie i stanie przed obliczem jego". To zło to historyczne i aktualne skutki Systemu, który tak ukochał i podtrzymuje nasz minister wojny swoimi sojuszami i zakupami uzbrojenia.

Jak podaje raport ONZ, co 11. mieszkaniec planety w 2023 r. głodował; w Afryce nawet co piąty. To efekt biedy zrodzonej z imperialnego systemu eksploatacji peryferii przez bogatą Północ: taniej pracy, taniej ziemi, tanich surowców. W efekcie światowy rozkład bogactwa przypomina kielich szampana bez stopki. Na granicy fizycznej egzystencji wegetuje 1,8 mld ludzi.

Głód to szeroko otwarta brama dla drobnoustrojów i chorób metabolicznych. Od wieków towarzyszy mu anemia; cierpi na nią 1,3 mld ludzi na Ziemi. U 30 proc. chorujących dzieci anemia upośledza tworzenie się neuronów w mózgu, co skutkuje niedorozwojem umysłowym. Wśród wszystkich głodujących 18 proc. to dzieci poniżej piątego roku życia. Ci, co mogą, nie czekają na śmierć na miejscu. Może ich wabi dobrobyt w 20. gospodarce świata?

Gdzie kończy się wrażliwość moralna Kosiniaka-Kamysza? Na granicy z Białorusią?

Wolnościowiec wybiórczy

Ale polska prawica nie ma innego pomysłu, żeby chronić polską chatę, choć tyle w niej świętych obrazów i figur. Ma dylemat: z jednej strony chciałaby przerobić kraj „na kantor i fabrykę", do czego są potrzebni kolorowi z całego świata. Ale tak, by zostało dużo miejsca „na krzyż i Kościół".

Ale cóż, znacznej części polskiego społeczeństwa odpowiadają tacy mężowie stanu (cywilnego) jak Binarny Władek. Dla nich „świętość życia liczy się tylko w formie zygoty" – pisze prof. Joanna Hańderek na łamach „Faktów po mitach".

Nie przeszkadza im śmierć dzieci na granicy z Białorusią, nie przeszkadza im niszczenie psychiki dzieci na lekcjach religii. Nie przeszkadza im też łączenie tradycjonalizmu z kultem „wolności" – byle dotyczyła zysku i wyzysku. Nigdy praw kobiet.

Nie przypadkiem liberalni konserwatyści w różnych wyborczych kostiumach – i proeuropejscy, i bogoojczyźniani – niewiele się od siebie różnią. Chcieliby poprawić kondycję służby zdrowia, edukacji, infrastruktury – ale nie kosztem ograniczenia zbrojeń i opodatkowania biznesu. Wybierzmy dla nich wolność od polityki.

TADEUSZ KLEMENTEWICZ

SŁOWO CZERWONE

Ten i tamten naród

Interwencja Kancelarii Sprawiedliwości Społecznej

Mieszkanie pani Ani zostało zlicytowane za długi. Miała trudny okres. Mąż pijak, gdy od niej odchodził, zabrał wszystkie rzeczy poza łóżkiem. To on narobił długów, za które zlicytowano jej jedyny dach nad głową. Lokal kupiła bardzo zadbana, ładna i kulturalna kobieta z klasy średniej. Podobno odwiedzała niechcianą lokatorkę i próbowała ją przekonać, żeby płaciła należności do spółdzielni. Jednak pani Ania ma tylko 1200 zł renty i jest osobą niepełnosprawną, więc nie może dorabiać, a opłaty miesięczne wynosiły 1900 zł.

Nie da się za pomocą perswazji sprawić, aby osoba, która klepie biedę, stała się raptem finansowo wydolna. Starość i choroba uniemożliwiają podźwignięcie się, ale sąsiadka, ziejąca jadem na nas i na kobietę, której broniliśmy przed eksmisją na bruk, nie miała współczucia dla eksmitowanej. Przeciwnie – życzyła jej jak najgorzej, bo ona płaci, chociaż ma tylko 2000 zł emerytury. Pominęła jakoś, że ma męża, a tamta już nie, i że ten mąż też ma emeryturę. Skupiła się na fakcie, że jak ta biedaczka nie płaci, to inni płacą za nią. W bloku jest 25 mieszkań, a nie jest to jedyny blok w spółdzielni. Nawet więc jeżeli przez ten rok od licytacji płacą inni, to płacą góra po kilka złotych. Czy to jest fair? Nie, ale też nie jest fair, że ktoś kupuje mieszkanie z osobą niepełnosprawną, bo tak jest taniej, a potem podbija wartość swojej inwestycji, próbując starą i chorą kobietę wyrzucić na bruk.

Nie prosiliśmy o wiele – prosiliśmy tę panią i komornika, żeby zaczekali dwa tygodnie, aż sąd przyzna lokatorce prawo do lokalu socjalnego. Nie zgodzili się.

Komornik grozi nam aresztem, grzywną i tym, że zaraz policja nas z tych schodów wyniesie i zawiezie do aresztu. Kilka osób wymięka. Siedząca obok mnie na schodach 30-letnia kierowczyni warszawskiego autobusu nagle źle się poczuła. Nie wszyscy są przyzwyczajeni do takiego napięcia, groźby represji i przemocy. Większość jednak siedzi dalej. Mimo gróźb.

Wreszcie następuje przesilenie. Żartuję, że w taki upał będzie nas trudno nieść pięć pięter na dół. Jeden z policjantów obruszył się i stwierdził, że on nie zamierza nikogo nosić. Blokujących było 11 osób, policjantów ośmiu. Ale mimo nalegania właścicielki i komornika dowódca oddziału policji stwierdził, że mają za małe siły, żeby usunąć blokadę. I wniósł o przerwanie przez komornika czynności. Wszyscy zostaliśmy spisani na okoliczność ewentualnych kar.

Powstaje protokół odstąpienia od eksmisji. Pytanie, czy mamy jakieś wnioski? Wtedy zgłaszam wniosek, by naszej ekipy nie karać grzywną, bo to, co zrobili ludzie uczestniczący w blokadzie, zrobili, kierując się szlachetnymi pobudkami. Nawet właścicielka wzruszyła się faktem, że obiecaliśmy, że lokatorka w terminie dwóch tygodni się wyniesie, a nabywczyni mieszkania będzie mogła zrealizować swoje prawo do lokalu, więc też poparła mój wniosek o niekaranie nas. Gdyby jednak wlepiono nam grzywny, uskładalibyśmy te pieniądze, apelując do naszych członków i sympatyków o wsparcie. To przecież dzięki nim, dobrym ludziom, od ponad 20 lat funkcjonuje Kancelaria Sprawiedliwości Społecznej. Zawsze tak robimy, bo ludzie blokujący zwykle nie są zamożni.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Jedną z tych osób była pani Małgosia. Też niepełnosprawna i poruszająca się o kuli. Odważna, pogodna i bardzo wdzięczna, że pomogliśmy jej uniknąć eksmisji do lokalu, do którego nie dałaby rady się wdrapać, bo był bez windy. Inną z blokujących była kobieta, którą miałem reprezentować nazajutrz w Sądzie Okręgowym w Siedlcach w sprawie o eksmisję.

Ci ludzie wstali wcześnie rano i pojechali bronić kobiety, którą pierwszy raz w życiu zobaczyli na oczy podczas blokady. Większość wytrzymała stres, chociaż w blokowaniu byli debiutantami.

Po przykrej konfrontacji z życzącymi eksmitowanej kobiecie wszystkiego najgorszego ruszyliśmy grupą przez ulicę. Na sąsiednim podwórku przebywało spore towarzystwo, jakieś kilkanaście osób. Kiedy na ich pytanie, jak poszło, odpowiedzieliśmy, że udało się eksmisję zablokować, zaczęli wiwatować na naszą cześć. Są więc w Mińsku dorobkiewicze pozbawieni empatii i jest lud pracujący, który rozumie, co to bieda. Jest ten i tamten naród.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl e7de66dc69



Autoidentyfikacja

Grząski grunt ministra Przydacza

Mamy prawdziwy zwrot w polityce pałacu prezydenckiego wobec społeczności LGBT w Polsce. Nowe zasady traktowania osób płciowo i seksualnie nienormatywnych obwieścił wprawdzie nie sam prezydent Nawrocki – gdyż chwilowo był zajęty uczestniczeniem w ustawce u Donalda Trumpa – ale szef Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta RP Marcin Przydacz. A do głowy by nam nie przyszło, żeby prezydencki minister mógł ot tak sobie klepać, co mu ślina na język przyniesie. To oczywiste, że wszystko, co mówi, musi mieć panaprezydencki akcept.

Minister Przydacz urządził sobie 15 czerwca briefing z okazji wizyty jego pryncypała w Waszyngtonie. Wśród pytań pojawiła się kwestia objawienia się w Stanach Zjednoczonych Zbigniewa Ziobry w charakterze dziennikarza (za pośrednictwem niezawodnej TV Republika). Jedna z osób przepytująca Przydacza podczas briefingu szczególnie drążyła ten temat, dopytując, czy Ziobrę rzeczywiście można uznać za dziennikarza. Przydaczowi wyszło, że można, gdyż Ziobro tak jest uprzejmy się „autoidentyfikować".

– Moim zdaniem, panie redaktorze, wchodzi pan na bardzo taki, powiedziałbym, delikatny grunt, bo kwestia autoidentyfikacji danego człowieka jest jego indywidualną sprawą. Moim zdaniem to jest bardzo niebezpieczne, jeżeli pan odmawia ludziom autoidentyfikacji – przestrzegł Przydacz. I dodał pouczająco: – Nie jest moją rolą, żeby decydować o tym, kto kim jest, jaką ma płeć. Chyba że pan chce decydować o tym, kto ma jaką płeć albo jakiej jest narodowości…

Z powyższej wypowiedzi płyną bardzo konkretne wnioski: dla Karola Nawrockiego i jego ludzi autoidentyfikacja jednostki należy do jej dóbr najwyższych. Pałac prezydencki odnosi się do autoidentyfikacji z pełnym poszanowaniem, a jej kwestionowanie uważa za postępowanie niegodne. No bo gdyby było inaczej, to po co prezydencki urzędas rugałby dziennikarza za podawanie jej w wątpliwość?

A ponieważ wszyscy w Polsce są równi i muszą być traktowani przez władze tak samo, przeto jasne jest, że tę samą zasadę pan prezydent i jego koledzy zastosują w odniesieniu do wszystkich obywateli – w tym do tych, w których życiu autoidentyfikacja pełni rolę szczególnie ważną. Marcin Przydacz powiedział to wyraźnie, używając jako argumentu w obronie Ziobry kwestii samookreślania się osób transpłciowych. A więc do lamusa odchodzi polityka byłego Dudy, który w osobach płciowo i seksualnie nienormatywnych widział ideologię, a nie ludzi.

Od teraz w pałacu prezydenckim mamy pełne poszanowanie dla tożsamości i praw osób LGBT: to już nie jest ideologia, to już autoidentyfikacja.

Przydaczowa zapowiedź tej nowej polityki prezydenckiej ma jeszcze jeden istotny walor: jest ciosem w rządową bezsilność w kwestii praw osób LGBT. A więc, drogi premierze Tusku, wicepremierze Kosiniaku-Kamyszu i marszałku Czarzasty – do roboty! Twórzcie stosowne prawa pozwalające osobom LGBT w końcu żyć zgodnie z ich autoidentyfikacją. Ustawa o równości małżeńskiej – natychmiast! Ustawa o uzgodnieniu płci – natychmiast! Nie macie już wymówek. Pałac prezydencki dał jasny sygnał, że dobrostan gejów, lesbijek, osób bi i transpłciowych jest mu drogi tak samo jak wszystkich innych obywateli, zatem na pewno zrobi wszystko, żeby go poprawić. Więc jeśli kobieta autoidentyfikuje się jako żona swojej żony, jeśli mężczyzna autoidentyfikuje się jako mąż swojego męża, to w końcu pozwólcie im na życie zgodne z tą autoidentyfikacją. Jeżeli ktoś urodzony z męskim oznaczeniem płci autoidentyfikuje się jako kobieta, a ktoś, kto przy narodzeniu otrzymał żeńskie oznaczenie – jako mężczyzna, względnie nie autoidentyfikuje się z żadną płcią, dajcie im w końcu żyć, jak chcą. Przecież to bardzo niebezpieczne odmawiać ludziom ich autoidentyfikacji, a zatem i możliwości pełnego życia zgodnie z nią. Teraz się już nie wyłgacie!

A tak poważnie: jestem dziwnie spokojna o to, że przy najbliższej okazji kwestia autoidentyfikacji jako dobra szczególnego jednostki pójdzie w kąt. Przydacz będzie udawał, że nie pamięta, co mówił, a osoby LGBT znów okażą się dla pałacu prezydenckiego bandą zboczeńców, a w najlepszym razie wrogą ideologią. I znowu usłyszymy, że walka o ich prawa jest zagrożeniem dla porządku prawnego Rzeczypospolitej.

Za to zbiegły przed polskim wymiarem sprawiedliwości Ziobro – którego rodzima prawica gloryfikuje jako politycznego męczennika i wciska publice kity o jego dziennikarskiej autoidentyfikacji – takim zagrożeniem nie jest.

EDYTA BAKER

Bioróżnorodność kontra biznes
Rezerwat poselskiej głupoty

Możliwość zawetowania przez samorządy utworzenia parku narodowego skutkuje tym, że od ponad 20 lat nie powstał żaden taki obszar. Posłowie PSL i Polski 2050 wpadli na pomysł, żeby podobną regulacją objąć tworzenie rezerwatów i uzależnić ich powstawanie od zgody rady gminy.

Projekt przedstawili w sejmie Krzysztof Paszyk i Urszula Pasławska z PSL oraz posłowie Polski 2050 Bartosz Romowicz i Paweł Śliz. Parlamentarzyści przekonują, że proponowane rozwiązania „wzmocnią głos lokalnych społeczności" i zapewnią równowagę między ochroną przyrody a rozwojem lokalnym. Poselska troska wzrusza, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że Urszula Pasławska to myśliwa, założycielka Klubu Dian Polskiego Związku Łowieckiego, przez wiele lat również jego prezeska. Krzysztof Paszyk też jest myśliwym i członkiem PZŁ, a w środowisku dwururek bywa określany jako osoba pełniąca w nim funkcje sędziowskie.

Przyroda w ręce rad!

Rezerwat przyrody to obszarowa forma jej ochrony o stosunkowo wysokim rygorze. Polska ma dużo rezerwatów pod względem liczby, ale bardzo mało pod względem powierzchni. Zajmują ok. 170 tys. ha, co stanowi ok 0,54–0,6 proc. powierzchni kraju. Większość leży na gruntach Lasów Państwowych. Dla porównania: w Niemczech wskaźnik obszarów pod ścisłą ochroną wynosi blisko 5 proc. kraju, a w niektórych landach nawet 10 proc. Krótko mówiąc, wypadamy kiepściutko.

Rezerwaty chronią najcenniejsze i najbardziej unikalne elementy ekosystemów: stare drzewostany, torfowiska czy stanowiska rzadkich gatunków. Są kluczowe dla zachowania siedlisk zagrożonych wyginięciem zwierząt, roślin, grzybów i porostów. Pozwalają utrzymać bioróżnorodność, pełnią funkcję korytarzy ekologicznych i obszarów referencyjnych do badań naukowych. Decyzje o ich ustanowieniu są efektem pracy specjalistów i analiz przyrodniczych. Ostatecznie sprawę przyklepuje wyspecjalizowany organ, regionalny dyrektor ochrony środowiska, po zasięgnięciu opinii regionalnej rady ochrony przyrody. To ma się zmienić.

W myśl planowanej nowelizacji ustawy o ochronie przyrody regionalne dyrekcje ochrony środowiska zostaną wykastrowane z decyzyjności. Zgodę na powołanie rezerwatu miałaby wyrażać rada gminy. Taka zgoda mogłaby zostać uchylona przez wojewodę. Co więcej, wspomniana rada gminy w przyszłości miałaby także komenderować tym, czy obszar rezerwatu powiększyć, zmniejszyć, a nawet zlikwidować. Wkurwu dostali przyrodnicy w całej Polsce. Pomysł zjechał wiceminister klimatu i środowiska Mikołaj Dorożała. I słusznie.

Wyrżnąć i zarżnąć

Lex Romowicz, jak potocznie określa się dokument, jest bliźniaczo podobny do innego glejtu, który ćwierć wieku temu uwalił powstawanie parków narodowych. Mowa o nowelizacji ustawy o ochronie przyrody z przełomu lat 2000/2001 autorstwa posła Bogdana Pęka – wówczas z PSL. Wprowadziła ona słynne samorządowe weto, czyli wymóg uzyskania zgody gmin na utworzenie lub powiększenie wspomnianych parków. Ten manewr sprawił, że grupa kilkunastu radnych, często bez przygotowania przyrodniczego, może zablokować decyzję o ochronie terenów należących do skarbu państwa. Ot, taki pierwszy z brzegu Jurajski Park Narodowy, a gwoli ścisłości – jego koncepcja, skutecznie blokowana od lat. Projekt parku zrodził się w 1995 r. i zakładał jego powstanie m.in. na terenie gmin Janów, Olsztyn, Niegowa i Żarki. Padło weto. Argumentowano, że taka forma ochrony przyrody sprowadzi na teren ograniczenia w budowie, organizacji imprez masowych, a także rozwoju turystyki i inwestycji na terenach Parku Krajobrazowego Orlich Gniazd.

Wskutek oślego uporu samorządowców i Nadleśnictwa Kartuzy zdechł pomysł stworzenia Kaszubskiego Parku Narodowego. W tym wypadku ekologia przerżnęła z obawami o ograniczenie wycinek i polowań. Kolejny przykład to duch Turnickiego Parku Narodowego. Zamieszkujące rewir wilki, rysie i orły okazały się mniej atrakcyjne niż gospodarka leśna.

Konstytucja mówi wprost: „Rzeczpospolita Polska (…) zapewnia ochronę środowiska, kierując się zasadą zrównoważonego rozwoju". Srali muchy! Parki Narodowe, podobnie jak rezerwaty, obejmują tereny o najwyższej wartości przyrodniczej, a więc także obszary atrakcyjne dla myśliwych. Rozciągnięcie państwowej pieczy nad takim obszarem to też kłopot dla lokalnych polityków zblatowanych z okoliczną tkanką biznesową. Ból dupy odczuwają także lokalne nadleśnictwa. Tymczasem, jak pokazuje praktyka, rezerwat to krótkoterminowy koszt i potencjalna korzyść długoterminowa.



Hajs i układy

Analizy rozwoju lokalnego mówią wprost, że w wielu przypadkach bilans posiadania rezerwatu może wyjść na plus. Nietknięte ludzką łapą dzikie enklawy przyciągają turystów. Entuzjaści walorów krajobrazowych lubią zostawiać kasę w miejscu zakwaterowania, gastronomii, u lokalnych przewodników czy producentów wszelkich dóbr. Dzięki temu gminy z większym udziałem obszarów chronionych często mają wyższą dynamikę dochodów własnych per capita oraz zauważalnie lepszy rozwój mikroprzedsiębiorczości. Ekologiczne miejscówki mogą nie tylko stymulować powstawanie nowych firm usługowych, ale i podnosić atrakcyjność regionu jako miejsca do życia i inwestowania. Nie wspominając o takich korzyściach jak czysta woda, retencja, ochrona przed powodziami itd.

Od 2025 r. gminy otrzymują subwencję ekologiczną, której wysokość zależy od powierzchni obszarów chronionych. Rzut oka w dane Ministerstwa Klimatu i Środowiska pozwala stwierdzić, że nie wychodzą na tym najgorzej. Szacunkowy zysk netto za lata 2025/2026 np. dla gmin obszaru rezerwatu Bliżyńskie Lasy Naturalne w województwie świętokrzyskim wyniesie 2,9 mln zł. Gminy z obszaru Magurskiego Parku Narodowego chapną 31,4 mln zł. Subwencja ekologiczna nie jest dotacją celową, tylko częścią subwencji ogólnej dla jednostek samorządu terytorialnego. Oznacza to, że gminy mają dużą swobodę w jej wydawaniu. Nie mają obowiązku przepalania kasy na dopieszczanie zwierzyny i porostów. Gmina może je przeznaczyć na dowolny cel – inwestycje, wynagrodzenia, budowę dróg, czy czego tam akurat potrzebuje.

„Zamiast obiecanych przez Donalda Tuska 20 proc. lasów wolnych od wycinek posłowie koalicji rządowej proponują nam dalszą rzeź najcenniejszych przyrodniczo zakątków Polski" – podsumował pomysł nowelizacji ustawy Krzysztof Cibor z Greenpeace Polska. Na marginesie,

organizacja policzyła kiedyś, że jeśli rząd Donka nadal będzie mylił lasy z fabrykami drewna albo przeszkodami na drodze do wielkich antyśrodowiskowych inwestycji, realizacja tej obietnicy wyborczej zajmie 333 lata.

W kwietniu 2025 r. organizacje społeczne zaapelowały w sejmie do polityków o powiększenie sieci rezerwatów przyrody. Eksperci i przyrodnicy przygotowali tzw. Shadow List, czyli listę proponowanych terenów, które według rzetelnych inwentaryzacji i badań wymagają objęcia ochroną rezerwatową ze względów naukowych, kulturowych i krajobrazowych. Znalazło się na niej 1512 obszarów. Lasy Państwowe niemal 1000 pozycji zaopiniowały negatywnie… Wygodnie jest być sędzią we własnej sprawie.

Pomysłodawcy zmiany ustawy pucują pogląd o gwarancji udziału lokalnej społeczności w procesie decyzyjnym. To bajki dla potłuczonych. Jeśli projekt przejdzie przez sejm, zrobi dobrze lokalnym baronom i lobbystom kilku branż. Na interes społeczny, podobnie jak na rezerwaty, nie będzie miejsca.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

eprasa.pl e7de66dc69



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Echa i cienie

Prawica zżyna z lewicy i trzyma to w tajemnicy

Tygodnik „Do Rzeczy” czytam i cenię. Bo piszą tam zdolni, nierzadko błyskotliwi autorzy. Bukiet polskiego prawicowego dziennikarstwa. I choć często nie zgadzam się z prezentowanymi tam poglądami, to czytam ich teksty z uwagą. Bo często proponują dyskusje na ważne, interesujące i drażliwe w polskiej debacie publicznej tematy. Jak choćby toczona tam debata o resecie polskich relacji z Rosją. Poza tym autorzy „Do Rzeczy” bywają dowcipni. Ironiczni nawet wobec przenajświętszych liderów polskiej prawicy. Nie boją się zadrwić z nich.

Wielce popularna i intensywnie czytana jest w „Do Rzeczy” polityczna, plotkarska rubryka „Dwaj panowie G”. Pisana obecnie przez redaktorów Piotra Gocka i Cezarego Gmyza. Znając styl pisarski obu autorów, nietrudno zauważyć, że redaktor Gmyz jest słabszym ogniwem w tym tandemie.

Jak w każdej takiej plotkarskiej rubryce autorzy ujawniają tam nieznane w mediach zakulisowe wydarzenia polityczne i złośliwe opinie polityków, których oficjalnie nie chcieliby oni wypowiadać. Zwłaszcza kiedy krytykują swoich partyjnych kolegów-konkurentów, partyjnych liderów, a nawet prezydenta Nawrockiego.

Aby uwiarygodnić te plotkarskie przekazy, „dwaj panowie G” powołują się na posiadane przez nich grono tajnych informatorów. Zwanych przez nich „wiewiórkami”.

Kiedyś, aby opublikować w polskich mediach taką informację, używano zwrotu „Jak wróble ćwierkają”. Ale pojawiły się „wiewiórki”, które jak gatunek inwazyjny, tamte „wróble” wyparły. Wszechobecne teraz „wiewiórki” pierwszy raz pojawiły się w polskich mediach w 1993 r. w tygodniku „NIE”. Wymyślił je Piotr Gadzinowski, aby ukryć tajnych informatorów z ówczesnego UOP. Wtedy redaktorzy „NIE” spotykali się z nimi w warszawskim Parku Łazienkowskim. Tam zauważyli, że wiewiórki, pragnąc zmylić śledzących je, świetnie potrafią gubić wszelkie szpiclowskie ogony. Rychło takie „wiewiórki” stały się w „NIE” synonimem wszelkich tajnych informatorów. Nawet gadżetem tygodnika „NIE”. Puszysta ruda przytulanka z logo „NIE” była wręczana naszym gorliwym czytelnikom. Wraz z wódką, też z logo „NIE”.

Tygodnik „NIE” był i jest intensywnie czytany przez polskich prawicowców. Zwykle nie przyznawali się do tej lektury. Jak widać, na trwałe nasiąknęli jego słownictwem i treściami.

Dziś „wiewiórki” poczęte i urodzone w lewicowym „NIE” są gwiazdami prawicowego „Do Rzeczy”. Redaktorzy Gociek i Gmyz używają ich jak swoich i, rzecz jasna, nie przyznają się, skąd ten pomysł podchwycili.

Tygodnik „Sieci” jest przeciwieństwem tygodnika „Do Rzeczy”. Choć też definiuje się jako prawicowy, katolicki i patriotyczny. Ale na tym podobieństwa się kończą. Autorzy „Sieci” nie grzeszą błyskotliwością. Nie dyskutują, tylko podlizują się panu prezesowi Jarosławowi Kaczyńskiemu i innym dygnitarzom związanym ze Zjednoczoną Prawicą. Ich lizusowska wazelina aż wycieka z każdego wydania „Sieci”. Także z rubryk zaplanowanych tam jako satyryczne. Bo humor prezentowany w „Sieci” jest równie błyskotliwy jak radzieckiego „Krokodyla” w najczarniejszych stalinowskich latach.

Tygodnik „Sieci” czytam z obywatelskiego obowiązku. Ostatnio znalazłem tam nową rubrykę. Ważną dla redakcji, bo publikowaną na czołowych stronach wydania. To „Rudy i Brudy. Z życia premiera tenkraju”. Podpisana przez MuMa. Ten „Rudy...” to kopia drukowanej przez kilkanaście lat w lewicowym dzienniku „Trybuna” polityczno-satyrycznej powieści „Pierwsza dekada”. Pisanej przez grono autorów pod zbiorowym pseudonimem Magda Cień. Najbardziej aktywni w jej pisaniu byli dwaj autorzy tygodnika „NIE” Przemysław Ćwikliński i Piotr Gadzinowski.

Tamta Magda Cień często publikowała w fikcyjnej powieści prawdziwe wydarzenia i opinie polityków dostarczane przez jej parlamentarnych informatorów. Takie sejmowe „wiewiórki”. Bohaterami powieści były karykatury polskich polityków ukrytych pod łatwymi do rozszyfrowania pseudonimami. Wałęsą był Krok, Kwaśniewskim był Olecki, a bracia Kaczyńscy braćmi Kurkiewiczami. Teraz prawicowcy z „Sieci” powielają pomysł lewicowej „Trybuny” realizowany przez autorów z tygodnika „NIE”. I oczywiście nie wspominają, skąd to wzięli. A powielają nie tylko pomysł powieści. Nawet pseudonim głównego bohatera zerżnęli. Tytułowy „Rudy” występuje tam jako Roland Kieł. Taki sam był u Ćwiklińskiego i Gadzinowskiego. Jak widać, lizusków z „Sieci” nie stać nawet na wymyślenie własnych pseudonimów.

Tuski opadają na widok takiego nieróbstwa umysłowego.

GAD

Kultura debilizmu

Uczenie młodych w epoce dezinformacji

Podobno takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie. Jak jednak wychowywać i uczyć w epoce dezinformacji? Na to pytanie próbowali odpowiedzieć uczestnicy zdalnej konferencji naukowo-dydaktycznej „Ewolucja procesu dydaktycznego w dobie dezinformacji w krajach Europy Środkowo-Wschodniej”, zorganizowanej przez dr. Janusza Jartysia z Uniwersytetu Szczecińskiego. Pojawiły się tam ważne diagnozy, tyleż interesujące, co pouczające. Warto przytoczyć parę co mocniejszych głosów pomagających poruszać się w tym chaosie, jaki wokół nas panuje.

Ściema wokół nas

Wykład wprowadzający prof. Mirosława Karwata z Uniwersytetu Warszawskiego jak zwykle był gęsty od treści – nie przez przypadek jest to zdecydowanie najczęściej cytowany teoretyk polityki w Polsce. Karwat mówił o istocie, funkcjach i repertuarze dezinformacji. Wbrew temu, co się potocznie sądzi, dezinformacją nie są wyłącznie kłamstwa serwowane nam przez polityków – można wprowadzać ludzi w błąd na bardzo różne sposoby, nawet mówiąc prawdę, lecz nie całą, pozbawioną kontekstu, wykoślawioną.

Karwat zwrócił uwagę, jak istotną rolę w repertuarze dezinformacji odgrywa insynuacja, podstępne i krzywdzące sugerowanie czy przypisywanie komuś negatywnych cech, intencji czy czynów. Niezwykle trudno się przed nią bronić, w arsenale politycznej manipulacji to broń ciężkiego kalibru.

Intrygujący i wzbogacony fajnymi obrazkami był głos dr hab. Magdaleny Mikołajczyk z Uniwersytetu Wrocławskiego, która zajęła się generowanymi przez sztuczną inteligencję karykaturami Statui Wolności. Okazuje się, że symbol demokratycznej i wolnościowej Ameryki jest szeroko wykorzystywany w walce politycznej, szczególnie w krytyce działalności Donalda Trumpa. Mnie najbardziej spodobał się obrazek, na którym Trump dyma Statuę od tyłu. Nie wiem tylko, skąd w prelegentce wiara w moc tego symbolu. Francuzi upamiętnili w ten sposób stulecie Deklaracji Niepodległości, lecz niepodległość Ameryki była okupiona – jak swego czasu pisał trafnie Edward Redliński – dwiema zbrodniami: mordowaniem Indian i niewolnictwem Czarnych z Afryki.

Profesor Uniwersytetu Opolskiego Sławomir Czapnik w swoim stylu rzucał gromy na kapitalizm na świecie w ogóle i Polsce w szczególe. I zwrócił uwagę, że to, że politycy czy dziennikarze kłamią i manipulują, to tak naprawdę pół biedy. Cała bieda w tym, że ideałem dezinformacji jest mówienie tylko i wyłącznie prawdy, lecz w taki sposób, że absurdalność naszego obrazu świata składa się z całkiem rozsądnych na pozór elementów składowych. Jako przykład podał pierdolenie o przylocie do kraju F-35, krytykując nachalną propagandę, która temu towarzyszyła. Przywołał też klasyczną marksowską kategorię ideologii jako świadomości fałszywej, uwypuklając, że gdy od wielu dni media masowe mielą miałki temat odebrania orderu Zełenskiemu, ludzie czekają miesiącami, a niekiedy latami, na wizytę u lekarzy specjalistów. A o tym mówi się rzadziej i bez większego przekonania.

Profesor UW Filip Pierzchalski skupił się na tzw. kulturze debilizmu sprowadzającej wszystko do indywidualnych wrażeń. Zauważył, że coraz częściej prawda nie ma najmniejszego znaczenia – liczy się generalna opinia, a może stanowisko bańki informacyjnej, w której tkwimy. W takich czasach coraz trudniej uczyć teorii polityki, bo jeżeli nie ma zgody co do podstawowych cech świata wokół nas, to trudno cokolwiek sensownego powiedzieć o procesie rządzenia. Takie podejście sprzyja propagandzie na ogromną skalę, niemającej tamy w postaci wspólnie podzielanych pewników.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

I co z tego?

Wisienką na torcie było wystąpienie profesora Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy Janusza Golinowskiego opowiadającego o kulturze konfrontacji, „błędnym kole poczucia (nie)bezpieczeństwa”. Kształt obrazu naszego świata jest w dużej mierze wykreowany przez media społecznościowe, które w pogoni za zyskiem nie przejmują się, że ich algorytmy mogą być dosłownie zabójcze, nastawiając jedną grupę ludzi przeciwko innym, co może skutkować mordem – mówił prof. Golinowski. Trafnie unaocznił, że dziś pojęcie bezpieczeństwa pożarło kategorię wolności, a wojskowi mają wolną rękę w wydawaniu krociowych sum na zbrojenia. I zawsze im mało.

Na koniec zadajmy sobie pytanie, które jest podtytułem „Globalizacji” Zygmunta Baumana: i co z tego dla ludzi wynika. Nie wynika, moim zdaniem, nic dobrego.

Kiedy wokół szaleje głupota, która dobrze się klika i budzi u wielu szczere zainteresowanie, antidotum na dezinformację może być tylko i wyłącznie uczenie ludzi – im wcześniej, tym lepiej – krytycznego myślenia.

Bez tego będziemy żyć w świecie algorytmów, sztucznej inteligencji i wysublimowanych technologii, które będą nas czynić coraz głupszymi i podatniejszymi na manipulację.

ZUZ

Upojna sztuka fotografiki

Ośmielony awanturą o Orła Białego, sugeruję dyskusję o Buczy

Przed czterema laty napisałem tekst „Za drutami”, którego nie odważyłem się opublikować z obawy przed okrzyczeniem mnie przez patriotycznie usposobioną opinię publiczną zdrajcą Ojczyzny pozostającej w stanie wojny hybrydowej z Rosją. Teraz, kiedy doszło do odebrania prezydentowi Ukrainy Orderu Orła Białego, przyznanego całemu narodowi ukraińskiemu za dzielność w walce z rosyjskim najeźdźcą, przypomnieniem starożytnego tekstu chciałbym wylać beczkę oliwy na wzburzony ocean.

Przed czterema laty polską opinią publiczną wstrząsnęły dwa terytorialnie oddalone od siebie incydenty wojenne; w Buczy, gdzie rosyjscy najeźdźcy dokonali zbrodni ludobójstwa, i w Przewodowie koło Hrubieszowa, gdzie postradziecka rakieta S-300 uśmierciła dwu polskich obywateli.

Wtedy, dla ostudzenia emocji, chciałem przypomnieć mało w Polsce znany incydent z fotografią zatytułowaną „Penny Marshall podaje rękę Filkretowi Aliciowi przez drut kolczasty”, zamieszczoną na łamach „New York Timesa” jeszcze w czasie pierwszej wojny bałkańskiej. Niemiecki dziennikarz Thomas Deichmann tak oto opisywał słynną fotografię: „Nie było wątpliwości: piękna Penny Marshall, amerykańska aktorka, sfotografowana na tle drutów kolczastych i wychudzonego do granic unicestwienia bośniackiego uchodźcy, potwierdzała pogłoski o tym, że Serbowie dokonują w Bośni genocydu; prawdziwego ludobójstwa w obozach koncentracyjnych na wzór i podobieństwo Auschwitz”…

Zatem amerykańscy piloci zapakowali, co trzeba, do luków bombowych swoich szybkich samolotów szturmowych i z wysokości niedosiężnej dla jugosłowiańskiej artylerii zrzucili „boski przekaz” na serbskie miasta. Jedna drobna rzecz wzbudziła sceptycyzm Thomasa Deichmanna. Drut kolczasty przymocowany był do słupka po stronie, gdzie stali Bośniacy. Deichmann, inżynier z wykształcenia, wiedział, że ogrodzenia – czy to z siatki drucianej, czy też z drutu kolczastego – zawsze mocuje się do słupków po stronie zewnętrznej. Czyli na fotografii widać było, że za drutami uwięziona jest dobrze odżywiona i wszechstronnie zadbana amerykańska gwiazda filmowa Penny Marshall!

Niemiecki dziennikarz udał się więc do Trnopolje w Bośni. W zabudowaniach dużego gospodarstwa rolnego urządzony był obóz dla uchodźców, w którym rozmaite organizacje dobroczynności rozdzielały dary międzynarodowej mizerykordii: wodę mineralną, cukier, chleb z masłem, mąkę, kaszę i makaron. Zaledwie zainicjowane, urwane w pół słowa ogrodzenie z drutu kolczastego miało odgradzać mieszkańców sadyby od pastwiska dla rogacizny.

Wracając do nowszej historii: w 265. dniu wojny na Ukrainie, wczesnym popołudniem PAP nadał wiadomość o ataku dwu rosyjskich rakiet na polskie terytorium. Rosyjskie rakiety były dwie, co pozwalało wykluczyć nieszczęśliwy przypadek. A więc mamy wreszcie długo przez wszystkich zapowiadaną lub wyczekiwaną trzecią wojnę światową!

Kolejne komunikaty były bardziej optymistyczne. Eksplodowała jedna tylko rakieta i była to ukraińska rakieta przeciwlotnicza S-300 z posowieckich zapasów. Następny komunikat lał oli-

eprasa.pl e7de66dc69

Premier zombie

Keir Starmer jeszcze jest, ale już jakby go nie było. *Good riddance* – jak mówią Anglicy.

Byłam w Londynie, kiedy sir Keir ze łzami w oczach żegnał się ze stanowiskiem premiera. Poruszenia na ulicach nie odnotowałam, w pubach nikt nie zmieniał kanału w telewizorze z meczu na BBC, a jak już udało mi się gdzieś to BBC włączyć – nie usłyszałam nikogo, kto wyraziłby szczery żal z powodu odejścia szefa rządu. Nieszczery też nie. Niektórzy mówili, że było im żal Starmera, któremu głos się łamał, kiedy zapowiadał, że obecnie skupi się na „byciu najlepszym tatą, jakim może być" – ale to raczej litość niż poważanie. Według sondażu YouGov sprzed dwóch tygodni 74 proc. Brytów uważa, że Starmer jest do dupy. Przeciwnego zdania było zaledwie 18 proc., co daje mu poparcie netto na poziomie minus 56 proc. Gideon Skinner z brytyjskiego Ipsos mówi: „Wskaźnik niezadowolenia z osoby Keira Starmera jest najwyższy spośród wszystkich premierów objętych badaniami Ipsos od czasu, gdy po raz pierwszy zadaliśmy to pytanie w 1977 r.".

Nie będę ukrywać, że mnie to cieszy: Keir Starmer wyrzucił Jeremy'ego Corbyna z partii. Co jest zbrodnią przeciw lewicy, albowiem Jeremy Corbyn najwybitniejszym lewicowym politykiem jest. Amen.

Poza tym Starmer jest naraz socjalzdrajcą, nieudacznikiem i zwykłym łapówkarzem, który przyjął warte 100 tys. funtów prezenty od znajomych bogaczy: bilety na mecze Premier League i koncerty Taylor Swift, ekskluzywne ciuchy dla siebie i żony, okulary za 2,5 tys. funtów. Jego miłość do bogaczy objawiła się też w mianowaniu brytyjskim ambasadorem w USA Petera Mandelsona – znanego z przyjaźni z Jeffreyem Epsteinem. Później okazało się, że bliskość ta miała wymiar finansowy – Mendelson przekazywał Epsteinowi poufne informacje rządowe i lobbował na jego rzecz, za co był sowicie wynagradzany.

Nibykorbynista

Swój łzawy poniedziałkowy spicz sir Keir zaczął od stwierdzenia, że „sześć lat temu przejął Partię Pracy, która była w stanie bankructwa politycznego, finansowego i moralnego". I że wszyscy mu mówili, „że uzyskanie większości w wyborach parlamentarnych, a tym bardziej miażdżącej większości, było niemożliwe".

Dla porządku: owa „miażdżąca większość" Starmera to efekt ordynacji jednomandatowej i podziału głosów na prawicy. Zwycięstwo Starmera z 2024 r. od klęski Corbyna z 2019 dzieli półtora punktu procentowego; w liczbach bezwzględnych Starmer zdobył o 600 tys. głosów mniej, niż Corbyn w 2019 – i o ponad 3 mln mniej niż Corbyn w 2017. Ponadto za Corbyna Partia Pracy miała 600 tys. członków, dziś ma 250 tys.

Starmer został szefem Labour Party, opowiadając, że jest „przyjacielem" Jeremy'ego Corbyna i będzie kontynuować jego linię – po czym nie tylko pozbył się poprzednika i całej jego frakcji (z 200 kandydatów związanych z lewicą Labour Party do startu w wyborach dopuszczono pięcioro), ale i wyrzucił do kosza cały jego program. I to jest prawdziwy powód upadku gabinetu: w kraju, gdzie 50 najbogatszych rodzin ma więcej majątku niż uboższa połowa społeczeństwa – 34 mln ludzi – lewicowy rząd prowadził stricte prawicową politykę. Gdyby majątki o wartości powyżej 10 mln funtów obciążyć podatkiem majątkowym w wysokości 2 proc. – co postuluje m.in. Corbyn – przyniosłoby to 24 mld funtów rocznie: na zwalczanie biedy i bezdomności, które w rządzonym przez laburzystów Zjednoczonym Królestwie są epidemią. Polityków i ekspertów – a także członków organizacji Patriotyczni Milionerzy – postulujących opodatkowanie najbogatszych premier Starmer nazwał „sprzedawcami olejku wężowego". Po naszemu: szarlatanami.

Rząd rozpoczął urzędowanie od cięcia zasiłków na ogrzewanie dla 2,5 mln emerytów – co wepchnęło 50 tys. seniorów w ubóstwo. W następnym roku, pod naciskiem posłów zbierających opierdol w swoich okręgach, zasiłki zostały przywrócone. Bunt w poselskich szeregach zmusił rząd także do odejścia od torysowskiego ograniczenia zasiłków rodzinnych do dwojga dzieci. W kampanii Starmer obiecywał likwidację tego limitu – trzy tygodnie później zawiesił siedmioro posłów za głosowanie za jego zniesieniem. Ale w końcu musiał ustąpić.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

„Popieram ludobójstwo"

Na drugim biegunie polityki upadłego właśnie rządu – w centrum jego żarliwej uwagi – było zwiększanie wydatków na wojsko, entuzjastyczny udział w zbrojeniu Ukrainy i podsycaniu konfliktu. Pod tym względem Starmer szedł łeb w łeb z naszymi wielkimi przywódcami. Podobnie jak w szczuciu na imigrantów. W debacie nad zaostrzeniem prawa migracyjnego przywódca lewicy martwił się, że przez przybyszów „staniemy się wyspą obcych, a nie narodem"…

Firmowym znakiem rządu była też „walka z antysemityzmem" – głównie poprzez wspieranie izraelskiego ludobójstwa w Gazie, łącznie ze wsparciem militarnym. Starmer ogłosił, że Izrael „ma prawo" zablokować dostawy żywności, paliwa i leków do Strefy Gazy – wprowadził też brutalne represje wobec wszystkich, którzy się z tym nie zgadzają. Organizacja obywatelskiego nieposłuszeństwa Palestine Action – której członkowie włamali się do bazy RAF w Brize Norton i spryskali czerwoną farbą silniki samolotów używanych do tankowania w powietrzu izraelskich myśliwców, zrównujących Gazę z ziemią – została wpisana na listę organizacji terrorystycznych, co oznacza, że za przynależność do niej, a także za jej popieranie można dostać 14 lat więzienia. Od tego czasu ponad 3 tys. osób – często staruszków na wózkach inwalidzkich – zostało aresztowanych za trzymanie kartoników z napisem „Jestem przeciwko ludobójstwu, popieram Palestine Action". Skalę absurdu ilustruje facet, który usiadł koło takiej grupki staruszków z kartką „Jestem przeciwko Palestine Action, popieram ludobójstwo" – i został pominięty przy aresztowaniu.

W sumie – trudno wyobrazić sobie gorszego lidera lewicy. Pytanie, czy nowy będzie lepszy?

Domy i bomby

Andy Burnham, który właśnie zrezygnował ze stanowiska burmistrza Wielkiego Manchesteru, żeby wygrać wybory do Izby Gmin w specjalnie dla niego zwolnionym okręgu Makerfield, co z kolei dało mu szansę do ubiegania się o przywództwo Labour Party – na pewno jest sympatyczniejszy. W Manchesterze miał spore osiągnięcia w zwalczaniu bezdomności poprzez projekt „Housing First" – oferujący bezdomnym mieszkania bez warunków typu „wytrzeźwiej i znajdź pracę". Poprawił publiczną komunikację, zrobił pierwsze kroki na drodze do renacjonalizacji wodociągów, których prywatyzacja za Thatcher przyniosła potężny kryzys wodny, kosmiczne rachunki i – w skali kraju – 85 mld zysków prywatnym właścicielom. Zapowiada, że jako premier będzie zmierzał do renacjonalizacji podstawowych usług publicznych w całym kraju. W Manchesterze Burnham był też patronem układów zbiorowych, gwarantujących tzw. *living wage* – płacę pozwalającą na godne życie.

Z drugiej strony, w sprawie Palestyny – kwestii, która dominuje w brytyjskiej polityce, tak jak u nas wojna na Ukrainie – Burnham ma tendencję do kluczenia. Uniknął odpowiedzi na pytanie, czy Izrael dopuścił się ludobójstwa w Strefie Gazy, nie odpowiedział też na list otwarty Corbyna w sprawie powołania niezależnej komisji do zbadania współsprawstwa brytyjskiego rządu w tym ludobójstwie. Wygłaszał dość niepokojące komunikaty na temat zwiększenia nakładów na zbrojenia poprzez pożyczanie „z pominięciem reguł fiskalnych" – mimo iż tylko 37 proc. Brytyjczyków jest za wzrostem tych nakładów (40 proc. uważa, że nie powinny dalej rosnąć, a kolejne 15 – że już są za duże). Co ciekawe – po tym, jak jego zwycięstwo w Makerfield spowodowało wzrost kosztów brytyjskiego długu publicznego, Burnham odszczekał swojego poprzednie enuncjacje, żeby „uspokoić rynki".

Wbity w kąt?

Jego „zmiennokształtność" budzi interesujące reakcje w mainstreamowych mediach. W BBC usłyszałam z pięciu korespondentów z Westminsteru, którzy wyrażali nadzieję, że Burnham nie będzie miał konkurenta, bo wtedy laburzystowscy posłowie mogą go wybrać przez aklamację. Gdyby jednak konkurent się pojawił, decyzja spadnie na członków partii, którzy są zdecydowanie bardziej lewicowi niż wyselekcjonowani przez Starmera członkowie Izby Gmin. Żurnaliści bardzo się niepokoili, żeby wybory na szefa partii nie zostały zdominowane przez kwestie ochrony praw pracowniczych, kontroli czynszów, czy ochrony emerytur i programów socjalnych przed cięciami budżetowymi. „Skoro Burnham na pewno wygra, to po co wpychać go w ten kąt" – troszczyli się dziennikarze BBC, cytując ponoć posłów Labour Party.

Pomysł, że podstawowe lewicowe wartości to „kąt", przed którym trzeba ochronić lidera lewicowej partii, nie wróży brytyjskiej lewicy najlepiej.

Acz z drugiej strony: to, czy Burnham da się wepchnąć w ten kąt i jak ewentualnie będzie się w nim czuł – pozostaje niewiadomą. Burnham był posłem za Blaire'a, ministrem za Browna, był też członkiem gabinetu cieni u Corbyna – i wszędzie czuł się dobrze. W Partii Pracy krąży dowcip na jego temat: blairysta, brownista i corbynista wchodzą do baru. „Cześć Andy" – mówi barman.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

---

we na oszalały ocean; eksplodowało tylko paliwo rakietowe, a nie głowica bojowa. Ale i to wystarczyło, żeby zabić dwu mieszkańców wsi Przewodów koło Hrubieszowa. Po godz. 19.00 rzecznik rządu poinformował, że w związku z incydentem w Przewodowie pan prezydent Andrzej Duda pilnie zwołał posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego z udziałem członków sejmowej komisji do spraw bezpieczeństwa i odbędzie telefoniczną rozmowę z prezydentem Joe Bidenem. Ze swej strony MSZ nocą zawezwało na dywanik ambasadora Rosji, który okazał zdziwienie wobec polskich oskarżeń o atak rakietowy na Polskę.

Z ust Joe Bidena prezydent Duda dowiedział się, że rakieta, która spadła na Przewodów, „prawdopodobnie wystrzelona została przez Ukraińców". To bardzo uprzejme sformułowanie prezydenta USA, skoro Amerykanie w czasie rzeczywistym, dzięki obserwacji radarowej, satelitarnej i lotniczej przy pomocy samolotu AVACS, odbywającego stałe kursy wzdłuż wschodnich granic Rzeczypospolitej, doskonale znali trajektorię lotu i wiedzieli, że rakietę wystrzelili nasi napadnięci przez Rosję ukraińscy sprzymierzeńcy w kierunku rosyjskiego pocisku manewrującego z potężnym ładunkiem konwencjonalnym, przeznaczonym dla elektrowni w Dobrotworze koło Lwowa. Ta elektrownia zasilała w prąd także znaczący obszar województwa lubelskiego.



Rys. MARCIN CHUDZIK

Już nazajutrz, w 266. dniu wojny, dowiedzieliśmy się z ust profesora Jana Pietrasieńskigo, specjalisty od konstrukcji rakietowych z Wojskowej Akademii Technicznej, iż „w pocisku S-300 funkcjonuje specjalny flegmatyzator powodujący, że paliwo pali się wolno. Flegmatyzator funkcjonuje niezawodnie, natomiast w głowicy mogła zdarzyć się usterka urządzenia powodującego samozniszczenie rakiety po nietrafieniu w powietrzny cel". W ukraińskiej rakiecie doszło więc do eksplozji głowicy bojowej, a nie paliwa!

Próżno dociekać prawdy o rakietach wystrzelonych nieszczęśliwym przypadkiem lub też o samolotach pasażerskich strąconych przez pomyłkę. Jednak prezydent Zełenski znał banalną prawdę od pierwszej chwili, lecz zataił ją przed Polakami, najwierniejszymi sprzymierzeńcami Ukrainy… Uczynił to w zbożnym przekonaniu o słuszności zwalenia winy na Rosjan, którzy i bez tego popełnili tak wiele zbrodni przeciw ludzkości.

Społeczność międzynarodowa wylała morze łez nad ofiarami najohydniejszej rosyjskiej zbrodni wojennej, uwiecznionej na fotografii satelitarnej z ukraińskiej Buczy. Na zdjęciu zmieszczonym w „New York Timesie" i skopiowanym tysiące razy w internecie kratkami zaznaczone są ciała ukraińskich cywilów, pomordowanych przez rosyjskich zbrodniarzy. Widać wprawdzie ofiary „z rękami związanymi na plecach", zamordowane „strzałem w tył głowy", lecz zastanawiać może, po co rosyjskim zbrodniarzom potrzebna była tak czaso- i pracochłonna teatralizacja zbiorowego mordu? Czy ruscy sołdaci chcieli zrobić sobie pamiątkowe selfie z ofiarami własnego bestialstwa?

„Zdjęcia satelitarne z 11 marca pokazują jedenaście kształtów przypominających ludzkie ciała leżące na ulicy Jabłońskiej. Znajdują się one w tych samych miejscach, w których znaleziono je już po wyzwoleniu Buczy 2 kwietnia. Przyczyny śmierci są niejasne. Niektóre ciała były obok tego, co przypomina krater uderzeniowy. Inne były przy opuszczonych samochodach. Trzy z ciał leżały obok rowerów. Niektóre miały ręce związane z tyłu białym materiałem" – donosił „New York Times".

Jakże przyczyny śmierci cywilów są niejasne, skoro „zabijano strzałem w tył głowy"? W jakim celu wiązano niektórym ręce podartym na paski prześcieradłem, co jest zbędną mitręgą na polu bitwy i zwłaszcza podczas panicznej ucieczki przed wyzwolicielskimi wojskami ukraińskimi? Przez długie 22 dni rosyjskiemu agresorowi nie przeszkadzały ciała wydzielające przykry fetor na skutek rozkładu w promieniach słonecznych? Ale najważniejsze: co spowodowało, że ciała ułożone są w jakimś geometrycznym porządku, tak że wręcz zdają się pozować do doskonałej fotografii satelitarnej, w której brakować będzie jednak artystycznego nieładu?

Wszyscy wokół mnie wiedzą, że wymyślnej zbrodni dokonali Moskale i tylko ja jeden mniemam, że z wyłączeniem trojga rowerzystów, cywile są raczej ofiarami bombardowania lotniczego lub ostrzału artyleryjskiego, a ich ciała wydobyto być może ze zburzonych domostw. Ale ja nie mówię, jak było,

ja zasiewam jedynie wątpliwość i relatywizuję okropną rzeczywistość.

Tamtej zimy drżały mi łydki ze strachu, ale nie bałem się, że zginę pod rosyjskimi bombami. Było natomiast wielce prawdopodobne, że już w krótkim czasie kopnę w kalendarz z powodu hipotermii. Choćbym wyrąbał cały warszawski Lasek Bielański na drewno opałowe, nic nie wskóram, bo w moim bloku mieszkalnym na marymonckim osiedlu Ruda w ogóle nie ma pieców i jestem całkowicie uzależniony od dostaw ciepła z elektrociepłowni na Żeraniu. A na Żeraniu już zaczynało brakować węgla z Rosji.

Mój strach przed zimnem świadczy dowodnie – mówiąc językiem byłego szefa polskiego kontrwywiadu wojskowego generała Piotra Pytla – że w moim odosobnionym przypadku cel wojny psychologicznej, rozpętanej przez kagiebowców Putina, został już osiągnięty. Nastał więc lepszy czas dla negocjacji rozejmowych.

JAKUB KOPEĆ

eprasa.pl e7de66dc69

Inwestycje z długą brodą

Krótka historia deregulacji



Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

W Polsce budowa kilku kilometrów drogi trwa tyle, ile kiedyś trwało wybudowanie całego miasta. Choćby taka obwodnica Pisza. Jest tak typowa dla współczesnego państwa, że mogłaby zostać wpisana do podręczników administracji publicznej jako wzorzec działania. A chodzi nie o tunel pod górami i nie o most przez morze, lecz o drogę długości 7,4 km. Jednojezdniową z czterema rondami, mostem przez Pisę, sześcioma wiaduktami i dziewięcioma przejściami dla zwierząt – inwestycję, której koszt Główna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad oszacowała na 220,6 mln zł.

Pisz, nie Berdyczów

Państwo wiedziało więc, czego chce, miało pieniądze, miało program budowy i urzędników od organizowania takich przedsięwzięć. Wydawałoby się zatem, że skoro przetarg ogłoszono w sierpniu 2025 r., to za chwilę na plac budowy wjadą koparki. Ale jesteśmy w Polsce...

I zanim doszło do otwarcia ofert, wykonawcy zdążyli zadać ponad 700 pytań. Efekt był taki, że planowane na wrzesień otwarcie ofert przesunięto na listopad, bo w państwie przyzwyczajonym do wielomiesięcznego przesuwania terminów osiem dodatkowych tygodni nie robi na nikim wrażenia.

Kiedy wreszcie otwarto koperty, okazało się, że zainteresowanie inwestycją jest ogromne – w przetargu wystartowało aż 15 chętnych. A im więcej chętnych, tym większa konkurencja i niższe ceny – przynajmniej w teorii, gdyż po kilku miesiącach analiz, sprawdzania, korespondencji, wyjaśnień i produkowania kolejnych ton zadrukowanego papieru okazało się, że spośród 15 ofert aż 13 nadaje się do wyrzucenia. Ale gdy 86 proc. ofert odpada w publicznym przetargu, administracja uznaje to za przejaw prawidłowego funkcjonowania procedur.

Najtańszą ofertę złożył Polimex Mostostal, który chciał wybudować obwodnicę za około 135 mln zł. Kolejne należały do Unibepu za 146,8 mln zł, PORR za 151,9 mln zł i Aldesy za 154,6 mln zł. Wszystkie były znacząco niższe od kosztorysu inwestora, ale zostały uznane za niewłaściwe. Urzędnicy doszli bowiem do wniosku, że wykonawcy nie doszacowali części kosztów. Polimeksowi, wypomniano na przykład zbyt niskie koszty wykonania przejścia dla zwierząt. Trudno powiedzieć, czy chodziło o zbyt tanią ścieżkę dla saren, czy niegodne standardy mieszkaniowe dla lisów, czy niewystarczająco reprezentacyjne warunki migracji dzików. Faktem pozostaje natomiast, że oferta o wartości 135 mln zł wylądowała w koszu.

Jeszcze bardziej urzekająca jest historia firmy PORR. Miała doświadczenie, dobrze policzyła koszty i spełniała wymagania techniczne. Odpadła, bo nie odpowiedziała na urzędowe pismo do wykonawców z prośbą o przedłużenie terminu związania ofertą o kolejne 60 dni. Odpowiedź należało przesłać do 20 marca. PORR tego nie zrobił. Tak samo jak dziewięciu innych oferentów. Wielomilionowa inwestycja, miesiące analiz, tysiące stron dokumentów i dziesiątki ekspertyz poszły się gonić, bo nie odesłano właściwego formularza w odpowiednim terminie.

Na placu boju pozostały więc dwie firmy. Budimex z ofertą 161,6 mln zł oraz Strabag z ofertą 238 mln zł. Problem polegał na tym, że budżet inwestora wynosił 220,6 mln zł, więc propozycja Strabagu przekraczała przewidziane środki. Po wielu miesiącach procedowania, analizowania, odrzucania i wyjaśniania państwo doprowadziło sytuacji, w którym realny wybór przestał istnieć. Zwycięzcą został Budimex.

Ktoś mógłby przypuszczać, że skoro wyłoniono wykonawcę, to budowa zaraz się rozpocznie. Nic z tych rzeczy – najpierw trzeba przygotować projekt, następnie zdobyć zezwolenie na realizację inwestycji drogowej (ZRID), potem następne procedury, odczekanie ustawowych terminów i rozpatrzenie ewentualnych odwołań. Dlatego roboty budowlane mają ruszyć dopiero w trzecim kwartale 2027 r. i potrwać kolejne dwa lata.

Pociąg do samolotu

Żeby dojechać pociągiem do lotniska w Modlinie brakuje 5,5 km torów, które w państwie należącym do Unii Europejskiej, posiadającym satelity, internet światłowodowy, szybkie pociągi i sztuczną inteligencję, okazuje się przedsięwzięciem rozciągniętym na niemal całe pokolenie urzędników.

Nie bez kozery bowiem marszałek woj. mazowieckiego Adam Struzik podczas ogłaszania kolejnego sukcesu administracyjnego stwierdził bowiem: „Po 16 latach od pierwszego wniosku, który złożyliśmy w tej sprawie, dzisiaj z dużym zadowoleniem przyjmujemy decyzję pana wojewody”.

16 lat – w takim czasie Chińczycy budują tysiące kilometrów kolei dużych prędkości. W Polsce natomiast po 16 latach świętuje się podpisanie decyzji lokalizacyjnej dla 5,5 km torowiska.

Gdyby ktoś podjął się opisania wszystkich administracyjnych przygód związanych z tą inwestycją, prawdopodobnie powstałaby wielotomowa saga. Były bowiem decyzje środowiskowe i odwołania od decyzji środowiskowych. Były protesty organizacji ekologicznych i kolejne rozstrzygnięcia administracyjne. Były postępowania sądowe i Naczelny Sąd Administracyjny, którego wyrok udało się uzyskać dopiero w 2023 r. Projekt zaś sprowadza się do stworzenia dwutorowej, zelektryfikowanej linii z trzema wiaduktami, prowadzącej ze stacji Modlin do terminala lotniska Warszawa Modlin i peronu długości 200 m.

Samorząd województwa mazowieckiego już w latach 2016–2026 przeznaczył około 21 mln zł na przygotowanie dokumentacji, opracowania i działania przedprojektowe. Koszt zasadniczej budowy szacowany jest na 256 mln zł.

Kiedy wreszcie wojewoda podpisał decyzję lokalizacyjną, minister infrastruktury Dariusz Klimczak powiedział tonem znamionującym sukces w skali kosmicznej: „Zaczynamy wreszcie rzeczywisty proces budowy tej wyczekiwanej linii. Wreszcie powstanie linia, prawie sześć kilometrów odcinka dwutorowego zelektryfikowanego od stacji Modlin do samego portu lotniczego”.

Tyle że decyzja lokalizacyjna wcale nie oznacza rozpoczęcia budowy. Przetarg ma zostać ogłoszony w pierwszej połowie przyszłego roku. Umowa ma być podpisana w pierwszym kwartale 2027 r. i jeszcze w tym samym roku planuje się rozpoczęcie budowy. Zakończenie przewidziano na drugą połowę 2029 r. Gdy więc wojewoda podpisywał decyzję lokalizacyjną, pasażerowie mieli przed sobą jeszcze około czterech lat oczekiwania na możliwość dojazdu pociągiem pod terminal.

A że samo lotnisko funkcjonuje od 2012 r., to – jeśli harmonogram zostanie dotrzymany – pociąg na lotnisku pojawi się już po 17 latach od uruchomienia portu lotniczego. Tyle – jak dobrze pójdzie – zajmie Polsce zrobienie 5,5 km torów.

Warszawskie tempo

Kiedy w lipcu 2015 r. do urzędników wpłynął pierwszy wniosek środowiskowy dotyczący wschodniej obwodnicy Warszawy, przeciętny obywatel mógł przypuszczać, że za kilka lat samochody pojadą nową trasą. Chodziło przecież o około 16 km drogi – o odcinek ekspresówki mający połączyć węzły Drewnica i Warszawa Wschód, dawniej zwany Zakrętem. Tymczasem po 11 latach największym sukcesem państwa nie jest wbicie pierwszej łopaty, lecz podpisanie umowy na przygotowanie dokumentacji potrzebnej do dalszego przygotowywania dokumentacji.

Postępowanie środowiskowe spełzło na tym, że w maju 2017 r. generalny dyrektor ochrony środowiska uznał, że sprawą nie powinien zajmować się warszawski regionalny dyrektor ochrony środowiska, więc przekazał ją do Białegostoku. W listopadzie 2017 r. wydano decyzję środowiskową dla odcinka Drewnica–Ząbki. W grudniu 2018 r. wydano kolejną, dla odcinka Ząbki–Warszawa Wschód. Cóż, kiedy w lutym 2021 r. generalny dyrektor ochrony środowiska uchylił obie decyzje w całości, ponad pięć i pół roku pracy urzędów zakończyło się ustaleniem, że należy wrócić do punktu wyjścia.

W czerwcu 2025 r. GDDKiA ogłosiła przetarg na przygotowanie nowego studium techniczno-ekonomiczno-środowiskowego wraz z uzyskaniem decyzji środowiskowej. Wówczas przedstawiciele administracji mówili jeszcze o możliwej realizacji inwestycji w latach 2032–2035. Rok później podpisano umowę wartą ponad 7,4 mln zł z Biurem Projektowo-Badawczym Dróg i Mostów Transprojekt-Warszawa. I znów nie chodziło o budowę drogi, ale o przygotowanie analiz, wariantów przebiegu, dokumentacji środowiskowej i materiałów niezbędnych do wystąpienia o kolejne decyzje administracyjne. Na wykonanie tego zadania przewidziano 48 miesięcy, czyli cztery lata. Tyle trwa kadencja sejmu, ale w polskich realiach cztery lata uznano za odpowiedni okres do zastanawiania się nad przebiegiem 16-kilometrowej drogi.

Po 11 latach sporów i analiz nikt nie wie dokładnie, którędy ta droga ma przebiegać. Projektanci mają ponownie badać różne warianty, ze szczególnym uwzględnieniem rozwiązań tunelowych. Będą analizować kwestie techniczne, środowiskowe, społeczne i ekonomiczne oraz prowadzić konsultacje społeczne. Z tego przygotują dokumenty potrzebne do złożenia nowego wniosku środowiskowego, który według obecnych planów ma trafić do regionalnej dyrekcji ochrony środowiska około 2028 r. Potem rozpocznie się kolejna procedura, która może zakończyć się wydaniem decyzji środowiskowej – jeżeli decyzja zostanie utrzymana. Czyli nie zostanie zaskarżona i nie pojawią się nowe okoliczności wymagające dodatkowych analiz, a sądy nie dopatrzą się błędów. Jeżeli nikt nie uzna, że potrzebne są następne ekspertyzy. W państwie polskim słowo „jeżeli” od dawna jest najważniejszym elementem procesu inwestycyjnego.

GDDKiA przyznaje, że rozpoczęcie budowy można rozpatrywać dopiero w perspektywie lat 2036–2038. Oznacza to, że od pierwszego wniosku środowiskowego złożonego w 2015 r. do potencjalnego rozpoczęcia robót minie od 21 do 23 lat. W tym czasie całe branże gospodarki potrafią powstać i zniknąć. Państwo polskie będzie natomiast kończyło proces ustalania przebiegu 16-kilometrowej drogi.

TADEUSZ JASIŃSKI

Pamiętacie „idziemy po was!”? Powoli dochodzą

Korpokibole

To już prawie nikogo nie interesuje, ale właśnie ruszył w Białymstoku proces apelacyjny 31 kiboli z ponad 150, po których w 2013 r. szedł („Idziemy po was!”) z całym aparatem policyjnym ówczesny tuskowy minister spraw wewnętrznych, a dzisiejszy europoseł KO Bartłomiej Sienkiewicz. Po prawie dwóch latach od pierwszego skazania.

Na swoją kolej czeka też dwudziestu kilku innych fanatyków piłki kopanej, ale w odrębnym, bliźniaczym procesie, gdyż to wielowątkowe śledztwo Prokuratury Krajowej zdaniem sądu wymagało – jakkolwiek by to śmiesznie po tylu latach zabrzmiało – szybszego i skuteczniejszego finału. I tylko taki podział postępowań przed sądem miał to zagwarantować.

Powspominajmy więc i podmuchajmy na zimne. Podlasie mniej więcej do 2009 r. reklamowało się wyłącznie żubrami, „szeptuchami” i zielonymi płucami Polski. Tymczasem okazało się, że całkiem nieźle rozwijał się tam jeszcze jeden lokalny produkt, czyli pseudokibic z ambicjami mafijnymi. Nie taki zwykły stadionowy krzykacz, który po meczu wraca do domu i kłóci się z teściową. Mowa o ludziach, którzy postanowili połączyć zamiłowanie do piłki z sutenerstwem, handlem narkotykami, wymuszeniami rozbójniczymi i fascynacją brunatną symboliką.

Po latach śledztw i procesów w 2024 r. sądy zaczęły wreszcie wydawać pierwsze nieprawomocne wyroki. Część oskarżonych dostała grzywny, część kary w zawieszeniu i tylko kilku trafiło za kraty. Zarzutami objęto początkowo ponad 150 osób, ale jak to zwykle bywa, jedni poszli na ugodę z prokuraturą, a inni przypomnieli sobie, że jednak współpraca z organami ścigania nie jest aż takim złem. Święta zasada kibolskiego świata, czyli „nigdy nie syp”, zderzyła się z równie starą polską tradycją: „jak można mieć niższy wyrok, to czemu nie?”.

Według ustaleń śledczych środowisko kibolskie było podzielone niemal wzorowo. Jedni mieli zajmować się zarabianiem pieniędzy na sutenerstwie, wymuszeniach rozbójniczych i handlu narkotykami, a nawet bronią. Drudzy organizowali ustawki, a trzeci oddawali się działalności ideologicznej polegającej głównie na bazgraniu swastyk i przekonywaniu świata, że historia zatrzymała się gdzieś w okolicach lat 30. ubiegłego wieku.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Białystok zaczął wtedy regularnie pojawiać się w mediach za sprawą rasistowskich wybryków. Płonęły drzwi mieszkań migrantów, na murach wyrastały hitlerowskie symbole, a lokalni agitatorzy od nienawiści, tak jak dziś, usiłowali udowodnić, że największym zagrożeniem dla Polski jest człowiek o innym kolorze skóry albo obco brzmiącym nazwisku. W praktyce najgroźniejsi byli jednak dla własnego miasta.

Państwo w końcu postanowiło zauważyć problem. W policji powołano specjalne zespoły ds. przestępczości kibiców, do gry weszli funkcjonariusze pod przykryciem, więc do tego hermetycznego środowiska przeniknęli tacy z nich, którzy potrafili słuchać więcej niż tylko stadionowych przyśpiewek. Tak zaczęła się historia zatrzymań i aktów oskarżenia.

Śledczy udowodnili, że droga do kibolskiej kariery nie prowadziła przez trening piłkarski, lecz przez malowanie swastyk i wykonywanie innych zadań przestępczych na polecenie starszych kolegów.

Im większa była gotowość do awantury, tym większa szansa na awans w tym środowisku. Korporacje mają szkolenia i programy mentoringowe, podlaski półświatek najwyraźniej stworzył własny model zarządzania zasobami ludzkimi.

Na tym jednak historia się nie kończy. Część dawnych stadionowych wojowników z czasem odkryła biznes, jak np. żarcie na wynos. Garnitur zastąpił bluzę z kapturem, a działalność gospodarcza zaczęła wyglądać znacznie lepiej niż bieganie z kijem bejsbolowym po lesie. Pytanie tylko, czy człowiek tak naprawdę się zmienia, czy jedynie wymienia szyld nad wejściem?

Nie tylko Białystok miał zresztą swoje problemy. W mniejszych miejscowościach także dochodziło do malowania swastyk na elewacjach oraz ataków na policjantów (gminy Narew, Hajnówka). Świadkowie zdarzeń często przy tym cierpieli na nagłe zaniki pamięci, oskarżeni zgodnie twierdzili, że niczego nie widzieli i w niczym nie uczestniczyli, a wymiar sprawiedliwości musiał mozolnie składać całą układankę z zeznań funkcjonariuszy i materiałów operacyjnych.

Czy państwo ostatecznie poradziło sobie z tym środowiskiem? Optymiści powiedzą, że tak. Pesymiści zauważą, że młodych szukających łatwej tożsamości i prostych odpowiedzi nigdy nie brakuje. A tam, gdzie rośnie bezrobocie, jedyną intelektualną rozrywką są otwarte spotkania z Mentzenem, Braunem czy Bąkiewiczem, kwitną nuda i poczucie bezkarności – zawsze może wyrosnąć następna faszystowska hydra. Tylko że później znowu wszyscy będą udawać wielkie zaskoczenie. Jakby ktoś pierwszy raz odkrył, że hodowanie agresji rzadko kończy się konkursem recytatorskim.

JMP

eprasa.pl e7de66dc69

Jak wiadomo, samorządy są tym, co najlepszego mogło się przydarzyć wyborcom

Trzy odsłony lokalności



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Według Pogromców Reklamozy kiedyś doprowadzenie do usunięcia jednego nielegalnego billboardu trwało około 2 lat. Dziś zajmuje 4–5 lat. Dlaczego? Bo jak tłumaczy aktywista: „Każdy dzień, kiedy taki bilbord stoi, to dla jego właściciela zysk”.

Bywa, że samorząd jest jak dobrze ucharakteryzowany aktor. Z daleka wygląda potężnie. Na konferencjach błyszczy logo miasta, na lokalnym portalu widać uśmiechniętych urzędników, kolorowe wizualizacje, słowa o ładzie przestrzennym, zrównoważonym rozwoju i estetyce wspólnej przestrzeni. Jednak wystarczy wyjść z domu, przejść kilkaset metrów, minąć przystanek autobusowy, skrzyżowanie i dwa pawilony handlowe, by zrozumieć, że cały ten lokalny majestat kończy się dokładnie tam, gdzie zaczyna się stalowa konstrukcja wbita w ziemię, obwieszona płachtą reklamującą kredyt albo kolejny apartamentowiec z widokiem na czyjąś biedę.

Plakatowi statyści

Aktywiści z inicjatywy Pogromcy Reklamozy przeszli przez warszawskie Bemowo i sprawdzili 125 billboardów. Z tych 125 konstrukcji pozwolenie na budowę miały dwa. Pozostałe obiekty albo nie miały wymaganych zezwoleń, albo ich status był tak mglisty, że wymagał analiz i postępowań. I nagle w ratuszu zrobiło się niezręcznie. Bo trudno dalej opowiadać mieszkańcom o odpowiedzialnym zarządzaniu przestrzenią, kiedy okazuje się, że 98,4 proc. sprawdzonych konstrukcji funkcjonuje w rzeczywistości, która z prawem budowlanym ma tyle wspólnego, co folder promocyjny z rzeczywistością.

Gdy media jęły weryfikować te dane, samorządowa odpowiedź nie brzmiała „tak” ani „nie”. Lokalna władza sięgnęła po proceduralny dym zasłaniający brak odpowiedzi. Rzecznik dzielnicy oznajmił, że wpłynęło „kilkadziesiąt zapytań”, ale nie można tego potwierdzić, ponieważ część spraw znajduje się w toku, część jest w postępowaniach odwoławczych, a inne trafiły do sądów administracyjnych.

Zgodnie z prawem wolnostojący billboard traktowany jest jak budowla. Tak samo jak dom, hala czy magazyn. Potrzebuje pozwolenia na budowę. Tylko że w praktyce trudno znaleźć billboard, który je posiada.

Miasto oczywiście zapewnia, że reaguje. Warszawski Zarząd Dróg Miejskich poinformował, że samowole takie demontuje i usuwa. Nawet kilkaset rocznie. Ale kiedy aktywiści mówią o tysiącach nielegalnych nośników w stolicy, liczby te zaczynają przypominać gaszenie pożaru lasu przy pomocy konewki.

Firmy reklamowe odwołują się do samorządowego kolegium odwoławczego, potem do sądu administracyjnego, a czasem dalej.

Bemowo nie było pierwsze. Wcześniej aktywiści sprawdzili 150 billboardów głównie na Mokotowie. Legalny był jeden. Wychodzi więc na to, że przez lata miasta, których przedstawiciele tak chętnie mówią o estetyce, rewitalizacji i jakości życia, działały według bardzo prostego modelu. Jeśli coś przynosi pieniądze prywatnym podmiotom, a usunięcie wymaga wieloletniego wysiłku administracyjnego, to najlepiej przez jakiś czas udawać, że problemu nie ma. Potem można zorganizować konferencję, opowiedzieć o „determinacji w walce z reklamozą”, pochwalić się paruset usuniętymi reklamami i mieć nadzieję, że nikt nie spyta, ile ich zostało.

A kiedy pytanie padnie, zawsze pozostaje najbardziej niezawodna formuła samorządowego samozachwytu: sprawa jest skomplikowana, wymaga analizy, a postępowanie pozostaje w toku.

Mądrość mniejszości

W 2021 r. sopoccy radni przyjęli uchwałę dającą zielone światło budowie pomnika Paula Puchmüllera, architekta, budowniczego, projektanta między innymi sopockiego ratusza, postaci bez której obecny krajobraz miasta wyglądałby zupełnie inaczej. W 2022 r. ogłoszono wybór projektu. W końcu powstał gotowy pomnik – rzeźba wykonana z brązu, przygotowana do ustawienia przed ratuszem, którego sam Puchmüller był projektantem. Koszt – 350 tys. zł.

Pomnik stanął w magazynie, bo trwał remont budynku. I wtedy pojawił się polityczne przebudzenie. Cztery lata po uchwale, po konkursie, po produkcji, po wydaniu 350 tys. zł radni PiS-u uznali nagle, że jednak nie. Że decyzja z 2021 r. była „podjętą pochopnie i bez należytego rozpoznania kontekstu historycznego”.

W uzasadnieniu ich projektu uchwały można było przeczytać, że Puchmüller nie był neutralnym architektem, ale „urzędnikiem administracji pruskiej, namiestnikiem rządu okupacyjnego Cesarstwa Pruskiego, realizującym doktrynę germanizacji terenów polskich”. Dalej robiło się jeszcze ciekawiej, bo za „narzędzia germanizacji” uznano również budynki, które do dziś stoją w mieście i które przez dekady nikomu specjalnie nie przeszkadzały. Szkoły, obiekty publiczne, architekturę, którą przez lata promowano w folderach turystycznych, pokazując przyjezdnym jako element dziedzictwa Sopotu.

Najbardziej urzekający był pomysł rozwiązania problemu, na który wydano 350 tys. zł. W projekcie uchwały pojawił się więc pomysł sprzedaży prywatnemu kolekcjonerowi. A jeśli nikt nie kupi? Tu wybrańcy pisowskiego elektoratu wykazali się wyjątkową znajomością rynku surowców wtórnych, zapisując, że „jeśli nikt nie kupi pomnika, zawsze można oddać go na złom, co w jakimś stopniu zrefunduje poniesiony wydatek”. Skrupulatnie dodano nawet ceny skupu brązu.

Projekt uchylenia uchwały ostatecznie przepadł. Większość rady odrzuciła pomysł politycznego kasowania inwestycji, która już została zrealizowana. Ale gdyby układ głosów wyglądał inaczej, gdyby na sali było kilka mandatów więcej po jednej stronie, gdyby większość należała do tych, którzy jeszcze chwilę wcześniej chcieli liczyć kilogramy brązu po 28–34 zł, to rzeźba za 350 tys. zł najpewniej zostałaby skasowana. Tylko dlatego, że w samorządzie pieniądze publiczne nie są wydawane racjonalnie, ale wedle tego, czego potrzebują ci, którzy mają większość.

Być trochę w ciąży

Są w Polsce samorządy, które od lat karmią mieszkańców opowieścią o lokalnej stabilizacji. O rozsądku, gospodarności, inwestycjach i odpowiedzialnym zarządzaniu wspólnym majątkiem. W Trzebnicy burmistrz rządził miastem od 2006 r., czyli wystarczająco długo, by zdążyć wyrosnąć z lokalnego polityka na samorządową instytucję.

Pod koniec marca burmistrz został zatrzymany i przewieziony do prokuratury. W niej usłyszał pakiet zarzutów pokazujący, że tam, gdzie mieszkańcy widzieli kolejne inwestycje, śledczy dostrzegli coś innego. Pierwszy wątek dotyczył inwestycji realizowanych za publiczne pieniądze. Prokuratura skoncentrowała się na „ustnym zlecaniu wykonania utwardzenia dróg na prywatnych nieruchomościach” – na gębę znaczy. Dalej robi się jeszcze ciekawiej, bo prace miały być realizowane „bez kosztorysu i bez weryfikacji zakresu wykonanych prac oraz faktycznej ich wartości”. Kwota? Tu samorządowy romantyzm kończy się ostatecznie, bo według prokuratury z naruszeniem prawa wydano ponad 2 mln zł.

Ale na tym historia się nie kończy, bo samorząd w Polsce potrafi zaskakiwać skalą kreatywności. Drugi wątek poczynań burmistrza dotyczy łapówek. Prokuratura mówi o siedmiu przypadkach przyjęcia korzyści majątkowej od pracownicy urzędu miejskiego. Kwoty miały wynosić od 500 do 1500 zł. I właśnie w tym jest cały urok lokalnej polityki. Człowiek odpowiada za budżety liczone w milionach, przecina wstęgi, przemawia o inwestycjach, a potem według śledczych uzależnia przyznanie nagrody uznaniowej od tego, czy ktoś się nią z nim podzieli.

Co ciekawe, według śledczych złe działania burmistrza miały miejsce od 2015 do 2019 r. Ani wcześniej, ani później. Z tego zaś wynikałoby, że burmistrz był wporzo przez 16 lat swojego burmistrzowania i jedynie przez jedną kadencję był złym człowiekiem. I to na dodatek dawno temu.

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

Na krakowskim osiedlu Kliny Zacisze, gdzie aspirująca klasa średnia usiłuje odgrodzić się od reszty świata płotem i kredytem, doszło do brutalnej konfrontacji natury z polskim modelem rodziny. Locha z przychówkiem, nie zważając na świętość wózka spacerowego, wywróciła rocznego obywatela. Dziecko poddano obróbce szpitalnej, by sprawdzić, czy od kontaktu z dziczyzną nie nabawiło się czegoś niezabawnego. Sprawczyni zamachu uniknęła nawet badania alkomatem. Nikt nie zapytał jej o motywy, nie pobrał odcisków racic ani nie sprawdził, czy posiada aktualne ubezpieczenie OC od zderzania z wózkami.

W Jaśle objawił się modelowy przykład polskiej komórki społecznej: ojciec z dwoma promilami za kółkiem, matka z półtora promila na siedzeniu pasażera i pięcioletni syn – trzeźwy, co w tych okolicznościach zakrawa na rażący brak solidarności międzypokoleniowej. Dzięki obywatelskiej gorliwości, która wykryła drogowe pijaństwo, machina sprawiedliwości ruszyła: ojciec może dostać trzy lata za brak prawa jazdy i nadmiar etanolu, matka pięć za to, że nie była trzeźwą matką-Polką, a dziecko – w ramach nagrody za trzeźwość – trafi na kilka lat do państwowego sierocińca. W Polsce najbezpieczniej jest nie pić, nie jeździć i pod żadnym pozorem nie mieć rodziców.

W Częstochowie, na placu przed Sanktuarium św. Antoniego z Padwy, dokonano plastycznego zamachu stanu, który miejscowi proboszczowie nazywają renowacją. Oto najważniejsze fakty: figura Matki Boskiej zyskała oczy wychodzące z orbit z domalowanymi żółtymi liniami, tracąc przy tym brwi i usta. Ukrzyżowany Jezus otrzymał gęste czarne brwi oraz czerwone plamy wokół oczu. Efekt końcowy sugeruje, że Zbawiciel albo nie spał od trzech dni, albo brał udział w wyjątkowo brutalnej bójce w pobliskim barze. Krytycy zauważają, że „odnowienie” zatarło wszelkie detale rzeźbiarskie, zamieniając obiekty kultu w ogrodowe krasnale. Parafia na razie milczy.

Andrzej Witek został mistrzem Polski w biegu górskim ultra podczas zawodów Tatra Fest w Zakopanem. Starostwo wręczyło mu 10 tys. zł nagrody, by następnego dnia ogłosić, że to pomyłka. W stolicy Tatr hojność jest najwyraźniej stanem przejściowym, a błąd urzędnika – rzeczą świętą. Witek czuje się upokorzony. Nie zrozumiał lokalnej specyfiki: w Zakopanem nagroda jest jak halny – głośno szumi, wywołuje emocje, ale ostatecznie zostawia po sobie tylko ból głowy i puste ręce.

Prokuratura ustaliła, że były starosta karkonoski Krzysztof Wiśniewski posługiwał się sfałszowanym świadectwem maturalnym. Nigdy nie zdał matury. Dokument miała sporządzić pracownica sekretariatu szkoły w Karpaczu. Wiśniewski wykorzystał go w 2001 r. podczas rekrutacji na studia wyższe. Śledztwo umorzono jednak z powodu przedawnienia przestępstwa. Jednocześnie prokuratura zapowiedziała wszczęcie procedury administracyjnej zmierzającej do unieważnienia prawdziwego dyplomu ukończenia studiów, który uzyskał dzięki fałszywej maturze. To ważna wskazówka dla fałszerzy pieniędzy. Po prostu musicie fałszować dziś, a potem odczekać z wydawaniem, aż fałszerstwo się przedawni.

Według firmy AGRO Ubezpieczenia, specjalizującej się w ubezpieczaniu maszyn rolniczych, narasta dywersja wymierzona w wielkoobszarowe rolnictwo. Liczba szkód zgłaszanych z polis Agrocasco wzrosła o 76 proc. między 2024 a 2025 r. Coraz częściej złodzieje kradną najcenniejsze elementy ciągników i kombajnów – anteny GPS i monitory nawigacyjne. Plagą stają się „złote kolby”, czyli metalowe pręty, śruby i fragmenty łańcuchów celowo pozostawiane w uprawach. Po wciągnięciu przez sieczkarnie lub kombajny powodują one uszkodzenia liczone w setkach tysięcy oraz wielodniowe przestoje sprzętu. Przedstawiciele branży ubezpieczeniowej sugerują, że część tych zamachów może mieć charakter zorganizowany.

W Wodzisławiu Śląskim urząd miasta przez błąd w naliczaniu diet wypłacił 22 obecnym i byłym radnym łącznie 44,6 tys. zł nienależnych świadczeń. Większość samorządowców zwróciła pieniądze, jednak radna Anna Piotrowska odmówiła oddania ponad 4 tys. zł do czasu rozstrzygnięcia sprawy przez sąd. Jak tłumaczy, nie ufa wyjaśnieniom przedstawionym przez szefa urzędu miasta. Prezydentem Wodzisławia jest Mieczysław Kieca, z zawodu informatyk i fotograf. Zapewne tych pozostałych 22 radnych udało się po prostu oślepić błyskiem prezydenckiego flesza, a Piotrowskiej – nie. Często bowiem bywa fotografowana w okularach przeciwsłonecznych.

Niedrzwica Duża, ale schron mały. Gmina Niedrzwica Duża dostała od marszałka woj. lubelskiego 7 mln zł na wodociągi i kulturę, przy czym ta ostatnia ma mieć drugie dno. Pod Gminnym Ośrodkiem Kultury powstanie schron na 400 osób. Inwestycja ambitna, gdyby nie szczegół statystyczny: gmina liczy 12 tys. mieszkańców, z czego jakieś 300 osób to sami urzędnicy i ich przyboczni. Jeśli założymy, że każdy urzędnik ma żonę, męża lub choćby ulubionego kuzyna, to lista pasażerów tej betonowej arki Noego zamyka się, zanim pierwszy cywil zdąży dobiec do drzwi.

Grupa radnych z Nowego Targu uznała, że lokalny sport wymaga interwencji nie trenera, a prokuratora. Zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa dotyczy burmistrza Grzegorza W., byłej wiceburmistrz Joanny I. oraz kierownika referatu sportu Arkadiusza S. Chodzi o twórczość przy przyznawaniu stypendiów sportowych, która mogła kosztować podatników co najmniej kilka milionów złotych. Lista grzechów jest długa: od fałszowania dokumentów po przelewy na tajemnicze konta. To spektakularna klęska idei samorządności, która zamiast rozwiązywać problemy we własnym gronie musi posiłkować się organami ścigania. To smutne, że samorząd, zamiast rządzić się sam, woli być rządzony przez kodeks karny.

Polska wreszcie domknęła swój złoty sen na lodzie. Na Wyspie Króla Jerzego stanęła nowa Stacja Arctowskiego – lśniąca, odporna na sól i polską niemożność. Budowlańcy spod Torunia w temperaturze –25 st. C postawili gmach, w którym – co za szczyt ironii – zamontowano chłodnię i mroźnię. Widocznie Antarktyda była dla nich zbyt ciepła. Stary budynek z lat 70. odchodzi do lamusa. Nowy ma panele fotowoltaiczne, by łapać słońce tam, gdzie go przez pół roku nie ma, oraz nowoczesne laboratoria dla naukowców. Inżynierowie z Cierpic pod Toruniem chwalą się, że zdobytą tam wiedzę o logistyce morskiej i izolacji wykorzystają w Bydgoszczy. Gratuluję optymizmu.

Polska i Niemcy uruchamiają program Polsko-Niemiecki Bilet Przyjaźni, w ramach którego młodzi ludzie w wieku 18–27 lat otrzymają łącznie 60 tys. darmowych biletów kolejowych – po 30 tys. w każdym kraju. Bilet umożliwi bezpłatne podróżowanie po kraju sąsiada oraz przejazd tam i z powrotem po kraju macierzystym w ciągu siedmiu dni. Program przygotowano z okazji 35. rocznicy podpisania polsko-niemieckiego traktatu o dobrym sąsiedztwie. Czekamy teraz na pomnik Nieznanego Dezertera, aby fetować polsko-niemieckie braterstwo broni. Można by też urządzić narodowe zawody w serdecznym oszukiwaniu: Niemiec udaje, że nie kręcił licznika w sprzedawanym Passacie, a Polak udaje, że wierzy w jego szczery kompleks winy.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Mjr Zbigniew Radłowski ma 102 lata i przeżył niemal wszystko: Auschwitz, powstanie warszawskie, niemieckie stalagi i stalinowskie kazamaty. Okazuje się jednak, że najtrudniejszą do przetrwania formą tortury jest polsko-europejski wymiar sprawiedliwości. Od 13 lat major i Światowy Związek Żołnierzy AK usiłują wycisnąć z niemieckiej telewizji ZDF przeprosiny oraz 25 tys. zł za serial „Nasze matki, nasi ojcowie”. Choć sąd w Krakowie przyznał im rację, Niemcy, jak to mają w zwyczaju, nie skapitulowali. Sprawa otarła się o polski Sąd Najwyższy, a ten, nie wiedząc, co począć z gorącym kartoflem patriotyzmu, zapytał o zdanie Trybunał Sprawiedliwości UE. Luksemburg ogłosił jurysdykcyjną kapitulację Warszawy: jeśli Polak chce pełnego odszkodowania za niemieckie kłamstwa, musi iść żebrać o sprawiedliwość przed sąd w Berlinie. Mamy więc do czynienia z uroczym paradoksem: proces o honor Armii Krajowej trwa już siedem razy dłużej niż sama formacja, a cała batalia prawna zajęła dwa razy więcej czasu niż II wojna światowa. Po dekadach walki o suwerenność o tym, czy polski oficer został obrażony, i tak ostatecznie zadecyduje Niemiec. To się nazywa prawdziwe pojednanie ponad granicami. My ich pozywamy, a oni nam mówią, gdzie możemy ich pocałować w paragraf.

RJ

PS Informacje zaczerpnięto z prasy regionalnej, której standardy ustalania stanu faktycznego mogą wykazywać pewne zróżnicowanie terytorialne. Redakcja nie przyjmuje odpowiedzialności cywilnej, karnej, administracyjnej ani honorowej za ich ewentualną nieścisłość, nieprawdziwość lub nadmierną kreatywność źródeł.

eprasa.pl e7de66dc69

Pracowite jest życie staruszka

Państwo robi wszystko, żeby ludzie na starość się nie nudzili



Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Powszechnie uważa się, że emerytura w Polsce oznacza głównie narzekanie na ceny masła, stanie pod okienkiem w przychodni i opowieści o tym, że kiedyś to było. Tymczasem są tacy, którym ziściła się „emerytura pod palmami". ZUS wyjawił wszak, że w Polsce żyją ludzie, którym państwo co miesiąc przelewa emerytury przekraczające 50 tys. zł. Problem polega jedynie na tym, że taka osoba jest jedna, a żeby dostawać takie pieniądze, pracowała tak długo, że przeciętny Polak dawno zdążyłby trzy razy zmienić zawód i na dodatek umrzeć z przepracowania.

Krezusostwo

W Zabrzu wypłacana jest najwyższa emerytura w kraju. Wynosi ok. 54 tys. zł miesięcznie. Dla porównania średnia emerytura w Polsce to ok. 4,5 tys. zł brutto. Oznacza to, że rekordzista z Zabrza rocznie dostaje tyle, ile przeciętny emeryt przez całą swoją emeryturę.

Śląsk zresztą cały skrzy się od emerytalnych milionerów. W Chorzowie najwyższa emerytura wynosi 34,3 tys. zł, w Częstochowie – 33,7 tys. zł, w Sosnowcu – równe 30 tys. zł., w Rybniku – 28,3 tys. zł, w Bielsku-Białej – 25,3 tys. zł. Patrząc na te liczby, można dojść do wniosku, że pod ziemią fedrowano nie tylko węgiel, ale i przyszłe emerytalne fortuny. Tym bardziej że ogromna część rekordzistów to ludzie, którzy przepracowali po kilkadziesiąt lat bez większych przerw i bardzo długo nie przechodzili na emeryturę.

Drugie miejsce zajmuje Mazowsze. Tu rekordzista dostaje dokładnie 43 045,03 zł. W województwie kujawsko-pomorskim rekord należy do pani z Bydgoszczy, która pobiera 42 075,35 zł miesięcznie. Kobieta przeszła na emeryturę dopiero w wieku 81 lat. Miała przy tym aż 61 lat składkowych i jedynie dwa miesiące pracy nieskładkowej. ZUS ujawnił też dane dotyczące rekordzistki z Torunia. Ta dostaje 34 847,26 zł. Na emeryturę przeszła, mając 80 lat i siedem miesięcy. Jej staż składkowy wynosił ponad 55,5 roku.

Najbiedniej pod względem najwyższych emerytur wypada Lubuskie. Rekord z Zielonej Góry wynosi 21 559,59 zł, a z Gorzowa Wielkopolskiego – 22 899,06 zł.

Ciekawie prezentuje się też Opolszczyzna. Tam trzech największych emerytalnych potentatów to mężczyźni mający odpowiednio 81, 85 i 89 lat. Najwyższa emerytura wynosi ok. 40,3 tys. zł miesięcznie. Jej właściciel przepracował ok. 62 lata. Drugi rekordzista dostaje 32,2 tys. zł po 67 latach pracy, a trzeci otrzymuje ok. 30,5 tys. zł po 62 latach aktywności zawodowej. Patrząc na takie liczby, można dojść do wniosku, że część Polaków traktuje emeryturę nie jako moment zakończenia harówki, ale raczej jako nagrodę za to, że udało im się nie umrzeć na stanowisku pracy.

W Gdańsku najwyższa emerytura wynosi 34 458,89 zł. W Słupsku jest to 22 940,58 zł. Małopolska też nie zachwyca. W Krakowie najwyższe świadczenia wynoszą ok. 37,5 tys. zł i 36,2 tys. zł. W Tarnowie – 25,8 tys. zł, a w Chrzanowie – 21,5 tys. zł.

W Polsce można więc mieć emeryturę, która pozwala żyć jak milioner. Trzeba jednak pracować jeszcze w wieku, gdy większość znajomych wącha kwiatki od spodu. No i zarabiać na etacie bardzo dużo.

Praca po pracy

„Nie będziemy podnosić wieku emerytalnego" – słyszą od dekady Polacy od kolejnych polityków. I rzeczywiście, kobiety mogą przechodzić na emeryturę w wieku 60 lat, mężczyźni – w wieku 65 lat.

Żadnej nowej ustawy wydłużającej pracę nie ma, a mimo to Polacy pracują coraz dłużej. Władza znalazła bowiem sposób znacznie sprytniejszy niż zmiana prawa. Odkryła, że ludzi można do pracy zmusić biedą.

Najlepiej pokazują to liczby. Z danych ZUS wynika, że pod koniec 2025 r. aż 879,5 tys. osób, które osiągnęły wiek emerytalny, nadal pracowało i było zgłoszonych do ubezpieczenia zdrowotnego z innego tytułu niż sama emerytura. Czyli, mówiąc po ludzku, prawie 900 tys. emerytów nadal chodziło do roboty. Średni wiek pracującego emeryta wynosi dziś 67,8 roku. W przypadku mężczyzn to już 69,5 roku, wśród kobiet zaś 66,6 roku. Starość coraz częściej wygląda więc dziś tak, że człowiek miast siedzieć na działce, łazi do pracy niemal do siedemdziesiątki.

Specjaliści od rynku pracy opowiadają, że to sukces aktywnego starzenia się społeczeństwa. Że seniorzy chcą być potrzebni, aktywni i uczestniczyć w życiu społecznym. I pewnie po części mają rację, bo nie każdy marzy o siedzeniu na parkowej ławeczce i karmieniu gołębi. Wielu ludzi po prostu chce dalej żyć normalnie, mieć kontakt z ludźmi, poczucie sensu, zajęcie wypełniające rytm dnia. Ale aktywność zawodowa emerytów bardzo często nie jest wyborem, ale ekonomiczną koniecznością. Człowiek nie pracuje dlatego, że chce, ale dlatego, że inaczej nie byłoby go stać na życie.

System emerytalny jest bowiem skonstruowany tak, aby delikatnie, acz skutecznie popychać ludzi do dłuższej pracy. Oficjalnie nikt nikogo do niczego nie zmusza, formalnie każdy może przecież przejść na emeryturę natychmiast po osiągnięciu wieku emerytalnego.

Mechanizm jest prosty. Im wcześniej człowiek przechodzi na emeryturę, tym mniej dostaje. ZUS dzieli bowiem zgromadzony kapitał przez przewidywaną liczbę miesięcy życia po zakończeniu pracy. Jeśli ktoś kończy pracę wcześniej, to statystycznie będzie pobierał emeryturę dłużej, więc miesięcznie dostaje mało. Jeśli popracuje dłużej, to dalej płaci składki, więc kapitał rośnie. Po drugie, liczba miesięcy dalszego życia, przez które ZUS będzie dzielił pieniądze, spada. W efekcie każdy dodatkowy rok pracy może podnieść emeryturę nawet o 12–14 proc.

Państwo nie musi więc podnosić wieku emerytalnego ustawą. Wystarczy, że emerytura po przejściu w wieku 60 albo 65 lat będzie na tyle niska, by człowiek sam doszedł do wniosku, że nie ma wyjścia i musi chodzić do roboty.

Byle do śmierci

Mamy więc dwa modele przechodzenia na emeryturę. Pierwszy polega na tym, że człowiek składa wniosek do ZUS natychmiast po osiągnięciu wieku emerytalnego, zaczyna pobierać świadczenie i jednocześnie dalej pracuje. To rozwiązanie wydaje się sensowne, bo daje podwójny dochód. Z jednej strony wpływa pensja, z drugiej emerytura. Przez pewien czas można więc żyć całkiem wygodnie. Ale jeśli po kilku latach zdrowie się pogorszy albo pracodawca podziękuje za współpracę, człowiek zostaje wyłącznie z emeryturą wyliczoną kilka lat wcześniej, która jest znacznie niższa, niż mogłaby być po późniejszym zakończeniu pracy.

W drugim modelu człowiek, osiągnąwszy wiek emerytalny, nie składa wniosku o świadczenie. Dalej pracuje i odkłada przejście na emeryturę. Dzięki temu kapitał w ZUS rośnie i podlega waloryzacji. Wniosek o świadczenie składa dopiero po kilku latach. Efekt? Emerytura bywa wyraźnie wyższa i daje większe bezpieczeństwo na resztę życia.

Ekonomiści udowadniają, że ten drugi model jest bardziej opłacalny, to zaś oznacza, że władza nie wydłużyła wieku emerytalnego ustawowo, ale stworzyła system, w którym umiejący liczyć człowiek sam dochodzi do wniosku, że powinien pracować dłużej.

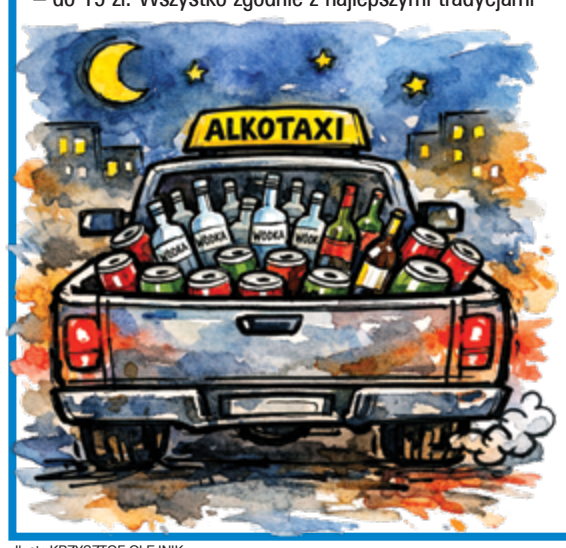
Najwięcej pracujących emerytów mieszka w województwie mazowieckim – 16,5 proc. wszystkich aktywnych seniorów. Drugie miejsce zajmuje Śląsk z wynikiem 13,8 proc. Najmniej jest ich w województwie opolskim – ledwie 2,3 proc. Weterani pracy najczęściej pracują w ochronie zdrowia i pomocy społecznej, gdzie zatrudnionych jest 17,2 proc. pracujących emerytów. Potem są handel i naprawa pojazdów – 12,5 proc., przemysł – 10,5 proc. oraz edukacja – 10,1 proc.

Społeczeństwo zaczyna się do tego przyzwyczajać. Jeszcze kilkanaście lat temu emerytura kojarzyła się z definitywnym końcem pracy. Dziś coraz częściej jest po prostu kolejnym etapem aktywności zawodowej. Dlatego politycy mogą dziś spokojnie powtarzać: „Nie podnosimy wieku emerytalnego". Nie muszą. System wypłacający głodowe emerytury robi to za nich.

TADEUSZ JASIŃSKI

Życie w dobrobycie

● Od 1 czerwca w Warszawie w godz. 22.00–6.00 nie wolno już sprzedawać alkoholu w sklepach. Pomysłodawcy nocnej prohibicji opowiadali o bezpieczeństwie, zdrowiu publicznym, porządku i innych wzniosłych ideach. Jak zwykle przy tego typu projektach zabrakło jedynie odpowiedzi na pytanie, które ekonomia zadaje sobie od lat – co zrobi człowiek, który czegoś chce, a władza mu tego zabroni? Warszawa potrzebowała zaledwie tygodnia, aby odpowiedzieć, i już po siedmiu dniach od wejścia w życie zakazu internet zaroił się od tego, co media ochrzciły mianem „e-melin". Trudno o bardziej polski sukces przedsiębiorczości. Oferta jest przejrzysta. Pół litra wódki kosztuje od 50 do 70 zł, piwo – od 7 zł, a butelka różowego wina – 40 zł. Dostawa – do 15 zł. Wszystko zgodnie z najlepszymi tradycjami gospodarki rynkowej. Jest produkt i klient, więc jest logistyka i marża. Zakaz obowiązuje w Warszawie, ale w odległości kilkunastu minut jazdy funkcjonują gminy, które nie postanowiły ratować mieszkańców przed nimi samymi. W Starych Babicach, Piastowie czy Izabelinie alkohol nadal można kupować. Część kierowców nie ograniczyła się tylko do przewożenia klientów. Skoro pasażer chce alkohol, a sklep znajduje się kilka kilometrów dalej, to bardziej opłaca się przywieźć produkt. W ten sposób taksówkarz stał się jednocześnie logistykiem, dostawcą, pośrednikiem handlowym i specjalistą od rozwiązywania problemów stworzonych przez administrację publiczną. Nocna prohibicja stworzyła więc nowe możliwości zarobku dla internetowych handlarzy, kurierów, kierowców i wszystkich tych, którzy dostrzegli szansę. A jeśli ktoś ma jeszcze wątpliwości, czy duch przedsiębiorczości w narodzie polskim żyje, to wystarczy zamknąć sklepy z alkoholem na osiem godzin.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

● Związki zawodowe są potrzebne. To dzięki nim pracownicy mogą wspólnie walczyć o podwyżki, bezpieczeństwo pracy i godne traktowanie. A co gdy organizacja powołana do reprezentowania ludzi pracy zaczyna przypominać osobny byt, za który rachunek płaci państwowa spółka znajdująca się pod kroplówką podatników? Bo otóż funkcjonowanie związków zawodowych w zaledwie czterech państwowych spółkach górniczych kosztuje rocznie niemal 100 mln zł. Rekordzistą jest Polska Grupa Górnicza zatrudniająca ok. 35 tys. osób, spośród których do działalności związkowej oddelegowanych jest 240 pracowników – to osoby zwolnione z codziennej pracy po to, aby zajmować się działalnością związkową. Koszt ich wynagrodzeń sięga 48 mln zł rocznie. W Jastrzębskiej Spółce Węglowej koszty funkcjonowania organizacji związkowych w 2025 r. oszacowano na ok. 34,3 mln zł. Dlatego, że działa tam ponad 80 zakładowych organizacji związkowych. Dzięki temu wskaźnik uzwiązkowienia w JSW wynosi 182,5 proc., bo statystyczny pracownik JSW należy niemal do dwóch związków zawodowych jednocześnie. W tejże JSW całkowicie zwolnionych z wykonywania zwykłych obowiązków zawodowych jest 112 pracowników zajmujących się działalnością związkową. W latach 2015–2024 koszty takich oddelegowań wynosiły ok. 19 mln zł rocznie. Alarm podnoszą również sami związkowcy. Przewodniczący WZZ „Sierpień 80" Bogusław Ziętek stwierdził: „dochodzi naszym zdaniem wręcz do wyłudzeń oddelegowań i wyłudza się w ten sposób środki z funduszu socjalnego". Problem więc nie w tym, że związki zawodowe istnieją, ale że w państwowym górnictwie przerosły zdrowy rozsądek. A skoro nawet część związkowców uważa, że system wymaga zmian, to być może najwyższy czas policzyć nie tylko koszty wydobycia węgla, lecz również koszty wydobywania kolejnych milionów złotych na utrzymanie związkowego imperium.

● Ustaw nam nie brakuje. Są więc takie o przeciwdziałaniu praniu pieniędzy, o rynku finansowym, o ochronie konsumentów, o cyberbezpieczeństwie, o działalności banków, o nawet o usługach płatniczych. Do tego dochodzą komisje, nadzory, departamenty i zespoły ekspertów. Ale wystarczyło kilkudziesięciu ludzi siedzących przed komputerami, aby wyciągnąć od obywateli co najmniej 80 mln zł. I wcale nie chodzi o kryptowaluty. Według śledczych ludzie byli nakłaniani do lokowania pieniędzy na platformach mających imitować inwestowanie na rynku FOREX regulowanym i kontrolowanym wszak od lat. W śledztwie są już 23 osoby z zarzutami. Pokrzywdzonych jest co najmniej 2 tys. Sprawa jest również ciekawym komentarzem do dyskusji o seryjnym wetowaniu ustaw przez prezydenta Nawrockiego. Bo przekręt na 80 mln zł nie miał nic wspólnego z jakąkolwiek zawetowaną ustawą. Prawo jest jasne, są instytucje oddelegowane do kontroli i zwalczania nieprawidłowości. A ludzi i tak okradziono z kilkudziesięciu milionów. Bo gdyby ustawy rozwiązywały problemy, to przy tysiącach stron obowiązujących przepisów podobna historia nie powinna się wydarzać. A jednak się wydarzyła i będzie wydarzać, bez względu na to, czy ktoś coś zawetuje albo nie zawetuje.

● „Gospodarka jest rozpędzona", „konsumpcja pozostaje mocna", „bezrobocie należy do najniższych w Europie" – podobne zaklęcia słyszymy od miesięcy. Ale praktyka biznesowa ma tę przykrą właściwość, iż nie ogląda konferencji prasowych polityków. Gdyby więc ktoś chciał sprawdzić stan polskiego handlu, powinien patrzeć nie na ministerialne prezentacje, lecz na kolejne opuszczane witryny sklepowe. Na polskim rynku działalność zakończyła choćby marka odzieży dziecięcej Okaïdi Poland. Jeszcze niedawno sieć prowadziła w naszym kraju 25 sklepów. Były galerie handlowe, był sklep internetowy, byli pracownicy i klienci. Sąd ogłosił upadłość spółki, wyznaczono nadzorcę sądowego, a 57 osób straciło zatrudnienie. Wierzyciele otrzymali 30 dni na zgłoszenie swoich roszczeń. Tak właśnie wygląda gospodarcza rzeczywistość. Najbardziej wymowny był komunikat skierowany do klientów. Było krótko i brutalnie: „Wszystkie sklepy Okaïdi i sklep internetowy zostały zamknięte". W 2024 r. Okaïdi osiągnęło sprzedaż na poziomie 40 mln zł. Ale sprzedaż nie oznacza zysku, więc firma zakończyła rok stratą 1,6 mln zł. W 2024 r. działalność firmy pochłonęła 43 mln zł. Na sam zakup towarów wydano 18 mln zł. Usługi zewnętrzne kosztowały 14,3 mln zł. Wynagrodzenia pochłonęły kolejne 6,9 mln zł. Można więc sprzedać ubrania za 40 mln zł i jednocześnie nie zarobić ani grosza. To właśnie dzieje się wtedy, gdy rynek 20. gospodarki świata przestaje patrzeć na zaklęcia. Bo ludzie coraz rzadziej kupują odzież dziecięcą w tradycyjnych sieciach handlowych, szukając tańszych ofert w internecie. Jeżeli rodzic może kupić podobny produkt za połowę ceny na platformie azjatyckiej, to wielu z nich właśnie tak zrobi. Bycie tytanem PKB nie oznacza bowiem dla ludzi borykających się z brakiem kasy nic. Ekonomiści lubią opowiadać o wskaźnikach nastrojów, indeksach zaufania i prognozach konsumpcji. Klienci patrzą w portfele, a przedsiębiorcy na saldo. I jeżeli przychody nie wystarczają na pokrycie kosztów, nie ma znaczenia, co pokazuje ministerialny wykres.

TTJ

eprasa.pl e7de66dc69

Dzwonobicie

Niewolnictwo liturgicznego hałasu

Ostatnio dotarł do mnie gość. Był to „Gość Niedzielny”. Po lekturze jednego z artykułów nabrałem podejrzeń, że chodziło w nim o mnie osobiście. „Dźwięk dzwonów niesie się nad Polską od tysiąca lat, wzywając do modlitwy, żegnając zmarłych i ogłaszając zmartwychwstanie Chrystusa. Jeśli to kogoś razi, to problem chyba tkwi w nim” – napisał Franciszek Kucharski, dziennikarz działu „Kościół”, teolog i historyk Kościoła, absolwent KUL.

Wobec takiego autorytetu postanowiłem uczciwie rozważyć możliwość, że problem rzeczywiście tkwi we mnie. Gdybym był głuchy, problemu niewątpliwie by nie było. Gdybym był kaktusem stojącym na parapecie, również nie odczuwałbym dyskomfortu, ponieważ rośliny nie posiadają układu nerwowego.

Niestety, jestem człowiekiem, a gdy piszę te słowa, jest godzina 21.00 i z wieży Kościoła św. Michała Archanioła w Piastowie, na którą niemal wychodzą moje okna, rozlega się potężne: bim, bim, bom! Ponieważ znajduję się niemal na wysokości dzwonnicy, fale akustyczne wprawiają w drżenie łyżeczkę pozostawioną w filiżance, a kursor niedotykanej myszy wykonuje samodzielne wędrówki po ekranie. Muszę przyznać, że nieco mnie to rozprasza, zwłaszcza że – o ile dobrze się orientuję – Chrystus akurat ponownie nie zmartwychwstał, a z kościoła nie wynoszą żadnego szczególnie ważnego nieboszczyka.

Cisi przeciw głośnym

Gdyby wierzyć teologom, moja alergia na metaliczny łomot to przewrażliwienie cynika, któremu sumienie nie daje spać. Jednak rzut oka na mapę Polski dowodzi, że mamy do czynienia z regularną wojną pozycyjną, w której przeciwnik używa brązu zamiast dronów. Od Łodzi po Tucholę, od Bytomia po Poznań, obywatele próbują walczyć z natężeniem dźwięku, które przy 120 decybelach sprawia, że startujący odrzutowiec brzmi przy kościelnej wieży jak szept kochanka.

To, co trafia do akt sądowych i raportów ochrony środowiska, to zaledwie czubek góry lodowej, pod którą dryfuje ocean cichej, bezsilnej nienawiści. Większość Polaków po prostu zaciska zęby i domyka nieszczelne okna, bo wiedzą, że walka z parafią to jak próba przekrzyczenia wodospadu – wymaga czasu, pieniędzy i determinacji, której brakuje człowiekowi chcącemu po prostu w spokoju zjeść zupę. Milczenie owiec nie oznacza tu wcale ich błogostanu, lecz świadomość, że z plebanem lepiej nie zadzierać, bo pochowa cię za płotem cmentarza.

Chińska droga do zbawienia

Skoro siłą i paragrafem nie można pokonać tego zanieczyszczania hałasem, wyobraźmy sobie najpierw motywy, dla których jest on emitowany.

Po pierwsze, podejrzewam istnienie jakiejś tajnej instrukcji episkopatu nakazującej proboszczom akustyczne znakowanie terenu. Skoro kościoły pustoszeją, trzeba przypomnieć bezbożnikom, że korporacja wciąż działa i ma się dobrze, przynajmniej w sferze decybeli.

Po drugie, zapewne za ową masową dźwiękową agresją stoi taniość. Dzisiejszy „głos pański” to zazwyczaj chińska elektronika najpodlejszej próby. Prawdziwe dzwony z brązu, z ich szlachetnym sercem i czaszą, to obecnie rzadkość zabytkowych katedr. To, co słyszę z okna, to wytwór technologii z Shenzhen, dzięki której proboszcz-technokrata może zaprogramować tygodniowy grafik tortur bez wstawania z kanapy. Od „Lulajże Jezuniu” po „Maryjo, Królowo Polski” – wszystko to płynie z głośników, imitując średniowieczną technologię za pomocą krzemu i plastiku. To szczyt cywilizacyjnego nonsensu: trochę tak jakby kupić komputer za wiele tysięcy złotych wyłącznie po to, aby udawał maszynę do pisania.

Po trzecie, owo teologiczne uzasadnienie, którym wyciera sobie usta „Gość Niedzielny”, sypie się jak tynk. Chrześcijaństwo przez pierwsze kilkaset lat dzwonów nie znało i – co ciekawe – jakoś się rozwijało. Jezus nie miał dzwonnicy. Apostołowie nie zwoływali zebrań za pomocą bimbombania.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W Starym Testamencie również dzwonów nie uświadczysz, bo Żydzi nie widzieli potrzeby budzenia całej okolicy, by ogłosić, że Pan jest wielki. Dzwonny szamanizm to wynalazek, wprowadzony między V a VIII w., kiedy to kler uznał, że samo słowo boże jest zbyt ciche, by skutecznie dyscyplinować stado. Krótko mówiąc: dzwony to nie fundament wiary, lecz wczesnośredniowieczny chwyt marketingowy.

W końcu nie można przecież również wykluczyć, że mamy tu do czynienia z dyskretną synergią biznesową – aliansem kleru z producentami zatyczek do uszu, lobby okien dźwiękoszczelnych czy fabrykantami środków uspokajających. Kościół zawsze miał genialnego nosa do interesów, a nic tak nie napędza sprzedaży Relanium jak sąsiedztwo wieży, która co godzinę ogłasza światu metaliczną dominację.

Sześć grzechów głównych dzwonobicia

Tak czy owak, za tą kakofonią musi stać jakaś potężna intelektualna nadbudowa, coś na kształt nieformalnego Ogólnopolskiego Kartelu Producentów Hałasu Liturgicznego, dbającego o to, by cisza była systematycznie gwałcona w imię (jak im się zdaje) wyższych celów.

Przeanalizujmy zatem bilans strat tej decybelowej ewangelizacji, bo skoro biskupi nie rozumieją pojęcia przyzwoitości, to może przemówi do nich rachunek.

1. Przez stulecia dzwon był symbolem sacrum, wspólnoty i święta. Czymś, co wyrywało z szarzyzny bytu. Dziś staje się symbolem migreny i sąsiedzkiej nienawiści. Psychologia zna pojęcie warunkowania negatywnego. Jeśli regularnie walisz kogoś metalem po uszach, to ten ktoś nie zacznie cię kochać, nawet jeśli na dzwonie wygrawerujesz „Bóg jest miłością”. Współczesny Polak, słysząc poranną kanonadę, nie wpada w stan duchowej ekstazy, lecz w szewską pasję. Kościół funduje sobie marketingowe harakiri.

2. Jeśli autorytet religijny nie chce być zwykłym zamordyzmem, musi opierać się na dobrowolności. Wiara to wszak kwestia wyboru, a nie przymusu. Tymczasem kościelna kanonada ma w sobie wdzięk policyjnej syreny. Im bardziej kler próbuje wbić nam swoje istnienie do głów, tym silniejszy budzi opór – i słusznie. Kościół ryzykuje ostateczne przejście z pozycji „instytucji duchowej”, zajmującej się rzekomo zbawianiem dusz, na pozycję „instytucji emitującej hałas”, zajmującej się głównie zatruwaniem życia sąsiadom.

3. Mamy też do czynienia z inflacją sacrum. W tym religijnym teatrze kluczowa była zawsze rzadkość występowania efektów specjalnych. Dzwon bijący od wielkiego dzwonu – na Wielkanoc, w Boże Narodzenie czy przy ślubie co zasobniejszego parafianina – miał swój ciężar gatunkowy, nadawał chwili pozory metafizyki. Ale kiedy to żelastwo wali bez opamiętania, wyjątkowość zdycha śmiercią naturalną.

Dzisiejszy hałas liturgiczny ma w sobie tyle sacrum, ile wycie alarmu w starym rzęchu na osiedlowym parkingu. Za pierwszym razem ktoś może jeszcze wyjrzy przez okno, sprawdzić, czy kradną. Za setnym – każdy marzy tylko o tym, by właściciel wreszcie wyzionął ducha wraz z akumulatorem.

4. Dalej: zamiast integrować wspólnotę w oczekiwaniu na zbawienie, parafia staje się zarzewiem regularnej wojny domowej. Proboszczowie wykopali w poprzek polskich ulic rów, którego nie zasypie żadna kolęda. Po jednej stronie mamy „obrońców tradycji”, dla których im głośniej, tym bardziej po bożemu, a po drugiej – „bezbożnych mącicieli”, którzy mają czelność domagać się prawa do spokoju we własnym M3. W rezultacie kościół przestaje być punktem orientacyjnym, a staje się uciążliwym sąsiadem, z którym nikt nie chce pić wódki, za to każdy chętnie wezwałby do niego policję.

5. To dzwonobicie to najskuteczniejsza metoda odbożania narodu. Człowiek obojętny religijnie nie potrzebuje wykładów z materializmu, by nabrać szczerego wstrętu do kleru. Wystarczy mu liturgiczny budzik, który wbija mu w czaszkę, że proboszcz ma w głębokim niepoważaniu jego prawo do snu i regeneracji sił. Dzwony wywołują ateizm fizjologiczny. Najtrwalszy ze wszystkich, bo wyhodowany na autentycznej wściekłości i podkrążonych oczach.

6. No i w końcu jest to także cios wymierzony prosto w splot słoneczny samej doktryny. Próżno szukać w Ewangelii fragmentu, w którym Jezus, ocierając pot z czoła, instruowałby uczniów: „Błogosławieni dzwonnicy, albowiem oni będą słyszani w promieniu trzech kilometrów, a kto ma słabe okna, niechaj cierpi w imię moje”. Wręcz przeciwnie – w tym ich świętym scenariuszu stoi wyraźnie: „Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiądą ziemię”. Dzisiejszy kler postanowił dokonać radykalnej korekty Pisma.

Nowy ład akustyczny

Pozwolę sobie jednak na chwilę sceptycyzmu wobec własnych narzekań: a nuż kler, w swoim genialnym instynkcie przetrwania, obrał jedyny słuszny kierunek?! W epoce, gdy ludzkość porozumiewa się za pomocą memów, monosylab i debilnych żółtych buziek, takie rytmiczne „Bim-Bam-Jezus-Maria” może być jedyną formą przekazu, którą współczesny mózg jest w stanie przefiltrować.

Jeśli tak, to władza świecka marnuje potężny potencjał socjotechniczny. Wyobraźcie sobie urząd skarbowy, który o szóstej rano, głosami elektronicznych dziewic, wygrywa z głośników: „Podatki są piękne, niech każdy to przyzna, z nich rosną potęga, urząd i ojczyzna”. Albo ZUS, który co wieczór o 21.00 koiłby nas kurantem: „Kochajcie ZUS, dzieci i wdowy, bo system nasz jest narodowy”.

Idąc tym tropem, widzę już oczyma duszy coroczny Festiwal Pieśni Aktuarialnej w Zakopanem, gdzie delegacje z oddziałów ZUS biłyby się o Złoty Kalkulator imienia Ottona von Bismarcka.

Skoro Kościół może nas tresować hałasem, dlaczego państwo miałoby nam oszczędzać tej przyjemności? W końcu nic tak nie buduje wspólnoty narodowej jak zbiorowa bezsenność w rytm urzędowych rymowanek.

Jeśli mamy żyć w świecie idiotów, to niech przynajmniej oprawa dźwiękowa będzie spójna.

ROBERT JARUGA

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Mt 10, 26–33 „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą”. Jezus nie wzywa do irracjonalnego strachu przed ludźmi, lecz do racjonalnego, świętego strachu – bojaźni Pańskiej.* ***To bojaźń przed Bogiem, który kocha nas nieskończenie, jest początkiem mądrości.***

o. Jacek Gniadek SVD, X, 21 czerwca

■ *Oderwanie od klasycznej myśli filozoficznej i chrześcijańskich korzeni* ***sprawia, że dziennikarze, politycy i naukowcy zagrażają tożsamości i życiu człowieka oraz narodu.***

ks. Janusz Chyła, X, 13 czerwca

■ ***Myślę, że każdy z nas spotkał się z jakąś oznaką ostracyzmu wobec katolików. Przemysł pogardy nie narodził się wczoraj. (…) Swoje wersje antykatolickich wojen o kulturę od 1917 r. w Rosji toczyli bolszewicy, w latach 30. hiszpańscy republikanie, a od 1933 r. narodowi socjaliści w Niemczech. (…) Antykatolickie imaginarium niemieckich liberałów w dużej mierze zostało ukształtowane pod wpływem epoki oświecenia, pełnej antykatolickich fobii. Duch nietolerancji wobec katolików przenikał całą zachodnią Europę.*** *(…) Lech Kaczyński był autorem tezy o braku poczucia w społeczeństwie bezpieczeństwa moralnego. Jeśli go nie ma, granica między dobrem a złem się zaciera i wtedy usprawiedliwione jest wszystko. (…)* ***Jeśli więc brak nam bezpieczeństwa moralnego, które jest kluczem do zrozumienia sensu istnienia, nasze zachowania społeczne podążają w stronę epoki Hitlera i Stalina. (…) Walka o rząd dusz to walka o to, co zapewnia społeczeństwu moralne bezpieczeństwo. A linią oporu również dziś może i musi być Kościół.***

Krzysztof Ziemiec, Idziemy.pl, 16 czerwca

■ *Święto Najświętszego Serca Pana Jezusa.* ***Dziś Serce Jezusa jest ranione w sercach dzieci, w które aborterzy wbijają igłę z trucizną. Serce Jezusa włócznią przebite – zmiłuj się nad nami.***

Kaja Godek, X, 12 czerwca

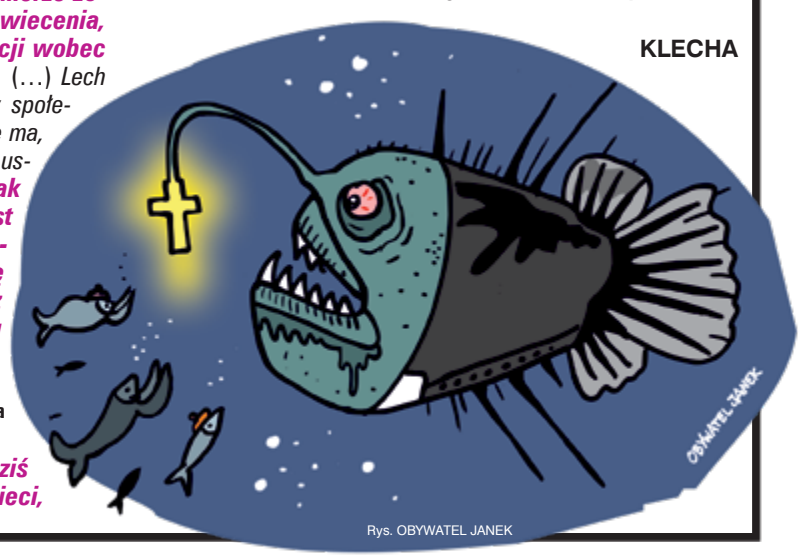
■ *Wszelkie dobra, jakie są na ziemi, są darem Ojca niebieskiego dla Jego dzieci i mamy dzielić się nimi z braćmi.* ***Nam, zarówno wychowanym w ideologicznym i przymusowym socjalizmie, jak i młodszym, skoncentrowanym na indywidualistycznym kapitalizmie, mówienie o braterstwie, przeznaczeniu dóbr dla wszystkich – słowa te źle się kojarzą.*** *Jezus jednak mówi do swoich uczniów: dobra tej ziemi są dla wszystkich.*

Paweł Kosiński SJ, Deon.pl, 19 czerwca

■ *Antykoncepcja jest działaniem, które sprzeciwia się nie tylko ludzkiej płodności, ale także eliminuje z życia małżonków cnotę czystości, osłabiając ich zdolność do daru z siebie.* ***Doświadczenie duszpasterskie licznych kapłanów uprawnia nas do stwierdzenia że zarówno wielu małżonków, jak i kandydatów do małżeństwa w ogóle nie rozumie, na czym od strony duchowej polega ten związek. Dlatego też trudno jest im zrozumieć, co od tej duchowej strony je niszczy i czego unikać, a co czynić, by tę wspólnotę rozwijać. Jednym z takich działań antymałżeńskich jest antykoncepcja, chociaż jej skutków duchowych nie widać od razu, tj. z dnia na dzień.***

dr Małgorzata Prusak, ks. prof. dr hab. Tomasz Kraj, Wydział Teologiczny UPJPII, Niedziela.pl, 19 czerwca

KLECHA



Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl e7de66dc69



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Być jak Franz Maurer

Subiektywny przegląd kina z okresu przełomu

Polskie kino lat 90. to wspaniały zapis minionej epoki. Z okazji 10. urodzin polski Netflix oferuje mnóstwo polskich filmów – w tym całą klasykę lat 80. i 90. Warto do nich wrócić, żeby zobaczyć, jak bardzo zmieniła się Polska – także ta filmowa.

Większość tych produkcji nadal ogląda się świetnie, choć sporo elementów fabuły zestarzało się po prostu fatalnie i dziś budzi jednocześnie śmiech, zdziwienie i lekki niepokój. Zapraszam na całkowicie subiektywny przegląd.

Miłość i niewola

Królem polskiego filmu lat 90. był Władysław Pasikowski – bardzo daleki od kina moralnego niepokoju. Inspirował się amerykańskim kinem sensacyjnym. Dzięki temu jego filmy nadal dobrze się ogląda: akcja pędzi do przodu, dialogi są świetnie napisane, aktorzy mówią wyraźnie, a zamiast godzin rozterek wewnętrznych bohatera mamy strzelaniny, pościgi i ludzi wypadających przez szyby.

Jednocześnie świat Pasikowskiego jest światem wyobrażeń i wartości Polski lat 90. Wszystkie kobiety z filmów Pasikowskiego byłyby dziś zapewne aktywistkami ruchu MeToo. Reżyser najwyraźniej niespecjalnie wierzył w partnerskie relacje i subtelny flirt. W jego filmach miłość bardzo często zaczyna się od przemocy i zniewolenia.

Franza Maurera poznajemy, gdy napastuje telefonicznie nieznajomą kobietę. Bohater „Psów” jest w pracy, molestuje przez telefon wiszący na ścianie ministerialnego korytarza. „Myślę, że jesteś niezła dupa i chcesz mnie bardzo” – mówi do kompletnie obcej osoby. Gdy zniesmaczona kobieta grozi wezwaniem policji, Franz odpowiada rozbawiony: „To ja jestem policja”.

Kiedy już przestaje molestować nieznajome, Franz zakochuje się w 17-letniej sierocie Angeli. Miał ją przesłuchać w jakiejś kompletnie nieistotnej sprawie, ale zamiast tego wyciąga ją z sierocińca i zabiera do restauracji. A ponieważ to film Pasikowskiego, młoda kobieta praktycznie od razu zakochuje się w starszym policjancie i proponuje mu seks. Franz ma honor i zasady, więc początkowo odmawia. „Brzydziłbym się sobą, gdybym ci to zrobił” – tłumaczy. Szybko jednak zmienia zdanie. W świecie Pasikowskiego emocjonalne decyzje podejmuje się zwykle po alkoholu, traumie albo strzelaninie – najlepiej po wszystkim naraz. W noc, w którą jego koledzy giną podczas nieudanej policyjnej akcji, dręczony poczuciem winy Franz wraca do domu i bez słowa dobiera się do śpiącej dziewczyny. Angela jest zachwycona.

W „Psach 2” Franz znowu zakochuje się w dużo młodszej kobiecie. Tym razem w Nadii. Nadia jest jeńcem wojennym i swego rodzaju „zdobyczą wojenną” z Sarajewa. Handlarz bronią Wolf kupił ją z obozu jenieckiego za skrzynkę whisky i traktuje jak swoją własność. Podczas licytacji sprzedaje ją Franzowi dokładnie za tę samą cenę. Dziś obaj panowie poszliby siedzieć za handel ludźmi, ale u Pasikowskiego Nadia jeszcze tej samej nocy zakochuje się w Franzu, a chwilę później razem zamieszkują.

Wracając do handlarza bronią: jak wielu fanów Artura Żmijewskiego, chcę wierzyć, że Wolf po latach przestępczego życia nawrócił się, przyjął święcenia, przeprowadził do Sandomierza i swoją kryminalną przeszłość wykorzystuje dziś do pomagania policji jako ojciec Mateusz.

Podobnie jak w Psach wygląda miłość w „Piłkarskim pokerze” Janusza Zaorskiego. Teoretycznie uczciwy sędzia Laguna, grany fenomenalnie przez Janusza Gajosa, ożenił się z Ireną, ale konsekwentnie nazywa ją Łapówką, bo była częścią zapłaty za sprzedany mecz. Twórcy chyba chcieli pokazać Lagunę jako sympatycznego cwaniaka, a Irenę jako zimną manipulatorkę. Problem w tym, że na ekranie widzimy alkoholika, który po pijaku rzuca się na żonę z pięściami, wyrzuca ją z domu i grozi śmiercią. Potem daje jej „ostatnią szansę”, oczekując deklaracji czystej, bezinteresownej miłości z jej strony. Gdy jej nie dostaje, postanawia zemścić się na kobiecie i zniszczyć jej karierę.

Kobiety w polskim kinie lat 90. są bowiem nielojalne wobec mężczyzn, którzy je zastraszają, kupują albo próbują kontrolować. Angela zdradza Franza. Nadia zdradza Franza. „Łapówka” manipuluje Laguną. Bohaterowie byli kompletnie zaskoczeni takim obrotem spraw – jak mogą być tak niewdzięczne?

Młoda, ale lojalna

Na tym tle lojalnością wyróżnia się Sara, tytułowa bohaterka kolejnego filmu Pasikowskiego. Sara ma 16 lat, chodzi do liceum i jest córką mafiosa. Leon (w tej roli oczywiście Boguś Linda) ma około czterdziestki, jest byłym komandosem, alkoholikiem po rozwodzie i ochroniarzem dziewczyny.

Dziś za taki związek groziłby internetowy bojkot, trzy podcasty true crime i analiza prawniczki na TikToku. W latach 90. różnica wieku nie stanowiła jednak większego problemu. Gdy Leon ratuje Sarze życie, dziewczyna zakochuje się i od razu proponuje mu seks. Tak jak Franz Maurer, tak i Leon ma zasady i początkowo odmawia, ale on także później ulega kusicielce – przy czym Leon nie potrzebuje do tego śmierci kumpli, po prostu pewnego dnia zamiast odwieźć Sarę do szkoły, jadą do niego. Po wszystkim Leon rozpala pod wanną ognisko z książki „Zbrodnia i kara” i podgrzewa wodę, cudem tylko nie powodując poważnych oparzeń siedzącej w wannie nastolatki.

Leonowi różnica wieku nie przeszkadza – wręcz przeciwnie. W jednej scenie 16-letnia Sara przymierza seksowną bieliznę, a on zirytowany komentuje: „To cię postarza”. Najwyraźniej twórcy uznali, że film nadal nie jest wystarczająco kontrowersyjny, więc dorzucili scenę, w której ojciec Leona zastanawia się głośno: „Czemu 60-letni mężczyzna nie może kochać 12-latki?”. A gdy Leon w pewnym momencie odrzuca Sarę z uwagi na jej wiek, ojciec zamiast pochwalić roztropność syna, wali go mizoginią: „chyba odziedziczyłeś rozum po matce”. „Sara” nie trafiła do oferty Netflixa.

Podobny szacunek dla kobiet i wieku świadomej zgody widać w „Piłkarskim pokerze”. W jednej ze scen skorumpowany sędzia Jaskóła jako łapówki zażądał trzech dziewczyn w hotelu w Łodzi. Klub zorganizował mu coś, co wygląda jak współczesny targ niewolników – 10 młodych kobiet ustawionych w rzędzie, z których 50-letni sędzia wybiera ofiary. Pominięte kobiety są wyraźnie nieszczęśliwe. Jedna z nich pyta „A ja?”. Na co Jaskóła odpowiada chłodno: „Pani nie, i jeszcze długo, długo nie”.

Alkohol krzepi

Ale lata 90. w polskim kinie to nie tylko seks z nastolatkami. To także pity litrami mocny alkohol.

W „Piłkarskim pokerze” gorzała jest lekarstwem na moralne kompromisy. Film uczciwie pokazuje jednak skutki picia – Janusz Gajos genialnie gra kaca i zmęczenie człowieka, który właśnie przegrał walkę z życiem i śledziem w occie.

W „Psach” alkohol obecny jest w pracy i po pracy. Pobudza umysł, bo to przy wódce bohaterowie wygłaszają celne komentarze dotyczące obecnej sytuacji w kraju: „Będzie tak samo albo lepiej” albo kultowe toasty: „Na pohybel czarnym i czerwonym. Na pohybel wszystkim”. Jest też świetnym afrodyzjakiem. W drugiej części „Psów” Franz Maurer upija się do nieprzytomności, by rano dowiedzieć się od zachwyconej Nadii, że kochali się w nocy, i to dwa razy. Franz niczego nie pamięta, ale opowieść kochanki przyjmuje z wyraźnym zadowoleniem.

W „Sarze” alkohol staje się wręcz źródłem nadludzkiej mocy. Leon przez cały film nie pije, bo zaszył się esperalem. W finale musi odbić ukochaną z rąk gangsterów i uciec z nią do Paryża. Decyduje się wrócić do wódki. Sam wydłubuje sobie esperal, upija się i dopiero wtedy odzyskuje jasność umysłu oraz zdolność skutecznego działania. Trzeźwy najwyraźniej nie miałby szans.

Warto wspomnieć jeszcze o jednej osobliwej rzeczy. Twórcy filmów z lat 80. i 90. mieli dziwną potrzebę dodawania kompletnie przypadkowego czarnoskórego bohatera, który do fabuły nie wnosił nic poza kolorem skóry.

W „Vabanku” Juliusza Machulskiego pojawia się słynny Murzyn z psem jako pułapka na wrabianego w napad Gustawa Kramera. W „Misiu” Stanisława Barei czarnoskóry koszykarz wychodzi z telewizora i zaczyna kozłować piłkę. W „Piłkarskim pokerze” na lotnisku widzimy czarnoskórego narciarza z nartami marki Polsport, co miało być chyba surrealistycznym żartem.

I chyba właśnie dlatego warto wracać do polskiego kina z okresu przełomu. Nie po to, żeby się oburzać, ale żeby zobaczyć, jak bardzo zmienił się świat. W tamtych filmach policjant molestował kobiety, mafioso romansował z licealistką, alkohol pomagał odzyskać koncentrację, a handel ludźmi przedstawiano jako początek wielkiej miłości. A mimo to widz chciał być jak Franz Maurer.

LEON ORŁOWSKI

„Psy”, „Psy 2. Ostatnia krew”, „Vabank”, „Piłkarski poker” są na Netflixie. „Sara” dostępna jest odpłatnie w serwisach Polsatu i TVP.

Marcin Bondarowicz nagrodzony w Chinach



Marcin Bondarowicz, rysownik, karykaturzysta i ilustrator współpracujący z tygodnikiem „NIE”, został nagrodzony srebrnym medalem w dziewiątej edycji międzynarodowego festiwalu rysunku satyrycznego „Red Man” International Humour Art Biennial organizowanego w Chinach. Artystę nagrodzono za dwie prace z kategorii „Primitive Man” (Człowiek pierwotny).



Fot. MAGDALENA BONDAROWICZ

To kolejny sukces Marcina Bondarowicza. Jest laureatem kilkuset nagród i wyróżnień w krajowych i międzynarodowych konkursach na rysunek satyryczny i prasowy. Mimo tego, tę akurat nagrodę Bondarowicz uważa za wyjątkową.

– Czuję się zaszczycony i doceniony. Praca mojego autorstwa po raz kolejny zdobyła uznanie chińskiego giganta promującego chiński i międzynarodowy rysunek satyryczny oraz prasowy. Na to międzynarodowe biennale wpływają setki tysięcy prac rysowników profesjonalnych z całego świata. Tym bardziej to cieszy i skłania do dalszej ciężkiej pracy – mówi.

„Red Man” to jeden z najbardziej znanych i prestiżowych konkursów dla rysowników, karykaturzystów i ilustratorów z całego świata. Organizatorem konkursu jest Redman Art, jeden z największych na świecie i największy w Chinach wydawca oraz właściciel portalu poświęconemu sztuce, a w szczególności ilustracji prasowej i rysunkowi satyrycznemu. Patronat nad wydarzeniem objęła Międzynarodowa Federacja Organizacji Rysowników FECO (Federation of Cartoonists Organisations), która zrzesza stowarzyszenia twórców karykatury i rysunku satyrycznego z całego świata.

Artyście oczywiście gratulujemy.

REDAKCJA

eprasa.pl e7de66dc69

Amatorzy za pieniądze

Zostawmy na razie mundial w spokoju. Naszych tam nie ma, może to i dobrze.

Mało kto wie, że nawet w czasach PRL istniał u nas oficjalnie sport zawodowy. Były dwie takie dyscypliny: żużel i wyścigi konne. Rajderzy i dżokeje dostawali pieniądze wprost za uzyskane wyniki, a nie za fikcyjne fedrowanie w kopalniach lub za wytapianie stali w hutach.

Meczami zaskakująco dobrych drużyn Curaçao (najmniejszy w historii kraj, jaki wszedł do finałów mistrzostw świata) czy Republiki Zielonego Przylądka na mundialu możemy pasjonować się w telewizji, o ile dokucza nam bezsenność. Remis Republiki Zielonego Przylądka z Hiszpanią, czy Curaçao z Ekwadorem to wielka sensacja, ale warto zauważyć, że nie są to amatorskie drużyny. W ich skład wchodzą profesjonalni piłkarze, często z europejskich drużyn, choć może nie z tych najmocniejszych.

Wyczynowego sportu amatorskiego już właściwie nie ma. Ktoś musi za niego płacić. Przyjrzyjmy się, jak to wygląda w naszym kraju.

Stypendyści

Polscy sportowcy najczęściej otrzymują pieniądze z klubów lub w postaci stypendiów z ministerstwa. A ponieważ zdecydowana większość naszych klubów utrzymywana jest przez spółki skarbu państwa – sportowcy są także państwowymi zawodowcami. Podobnie, jak to miało miejsce za PRL, tyle że nie nazywają się już górnikami czy hutnikami. Niektórzy są zatrudnieni w wojsku, w specjalnej jednostce sportowej, w której jedynym ich obowiązkiem jest trenowanie.

Tak czy inaczej, sportowcy utrzymywani są z naszych podatków. Władze miast co prawda pomału wycofują się z utrzymywania klubów, np. niedawno sprzedały akcje Górnika Zabrze, ale nie zawahają się, by podpisać decyzję o budowie nowoczesnego stadionu.

Istnieje grupa wyczynowców, która działa na zasadach samozatrudnienia: to tenisiści i żużlowcy. Nagrody w uprawianych przez nich sportach są wysokie, przynajmniej te dla najlepszych, ale sami muszą płacić za treningi, przeloty lub przejazdy, nie tylko za siebie, ale i ekipy towarzyszące, które zresztą za swoje zatrudniają.

Nasza nowa bohaterka narodowa, znakomita finalistka French Open Maja Chwalińska, przywiozła z Paryża rekordową dla siebie wypłatę 1,4 mln euro, czyli niespełna 6 mln zł. Ale na jej konto trafiło ostatecznie tylko 3,25 mln zł, bo resztę zabrał francuski fiskus. Dla rówieśniczki Igi Świątek, która przez wiele lat musiała zmagać się z kontuzjami i chorobą, to i tak rekordowa wypłata, która pozwoli zatrudnić w sztabie fizjoterapeutę i trenera przygotowania fizycznego. Przez jakiś czas francuska wypłata wystarczy Mai na opłacanie startów w turniejach.

Rodziców Mai Chwalińskiej nie byłoby stać na opłacanie jej lekcji tenisowych i startów w młodzieżowych zawodach. Na szczęście trafiła do klubu BKT Advantage Bielsko-Biała, gdzie uwierzono w jej talent i wzięto na siebie większość kosztów. Skorzystała także z ministerialnego projektu Talentiada, co pozwoliło teraz ministrowi Jakubowi Rutnickiemu dumnie wypinać pierś i przypominać, że kierowany przez niego urząd też ma udział w sukcesie Mai. Jak mówi stare porzekadło: sukces ma wielu ojców, porażka jest sierotą.

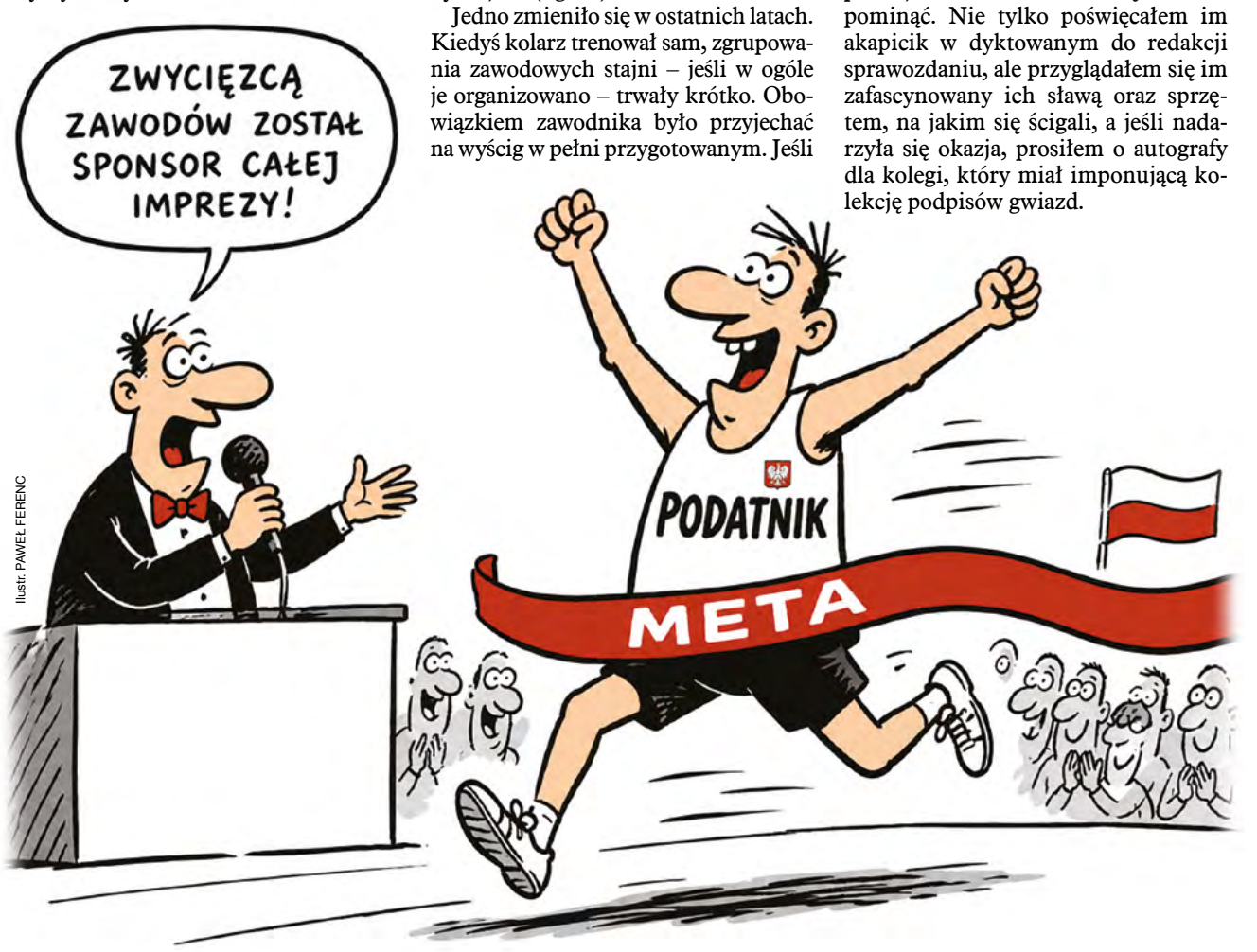
Iga Świątek zarobiła dotychczas na tenisie ponad 150 mln zł, ale mówimy tu o sześciokrotnej zwyciężczyni turniejów Wielkiego Szlema, osobie o dużej rozpoznawalności, z którą kontrakty reklamowe podpisywać chcą światowe firmy. Jako juniorce też było jej trudno, ona i jej rodzice również musieli się nagimnastykować, żeby opłacić sportową pasję.

Tenisistki i tenisiści z czołówki, mniej więcej z czołowej setki rankingu, mogą bez problemu samofinansować swoje starty i swoje ekipy. Ci słabsi lub ci na dorobku muszą wciąż kombinować, jak zdobyć fundusze.

Tankujesz – sponsorujesz

W żużlu także mamy czysty profesjonalizm. Rajder dostaje pokaźną sumę za złożenie podpisu pod kontraktem, a później za każdy zdobyty podczas zawodów punkt. Myślę, że klubowe księgowe żyją w ciągłym stresie. Z jednej strony chciałyby, żeby klub, który je zatrudnia, wygrywał, z drugiej – każda wygrana to obciążenie dla klubowej kasy. Chyba najbardziej cieszą się z minimalnych wygranych. Punkty do ligowej tabeli są zapisane, budżet nie jest bardzo narażony.

Zarobki czołowych rajderów są – na pierwszy rzut oka – imponujące. Dobry zawodnik dostaje z klubu 8–10 tys. zł za zdobyty punkt, a podczas jednego meczu może ich zgarnąć nawet 18 (jeśli w grę wchodzą zastępstwa); regułą jest ponad 10, w przeciwnym przypadku nie byłby dobrym żużlowcem.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Zawodnik nie może jednak wszystkich zarobionych pieniędzy ulokować na prywatnym koncie. Żużlowiec z własnej kieszeni opłaca mechaników (dwóch lub trzech), menedżera, niektórzy decydują się na zajęcia z psychologami lub innymi specjalistami. Trzeba kupić busy, w których są warsztaty mechaniczne i miejsce do spania. No i najważniejsze – motocykle i ich silniki wykonywane na zamówienie przez jedną z kilku wyspecjalizowanych firm.

Sezon żużlowy trwa krótko, trzeba startować niemal codziennie w różnych miejscach, zarobić tyle, żeby starczyło dla całej ekipy na rok i jeszcze zostało coś na egzotyczny urlop z rodziną. Jeśli chodzi o zdrowie, rajderzy są zwykle dobrze ubezpieczeni. Nie znaczy, że i w żużlu nie ma spółek skarbu państwa. Mogę o sobie śmiało powiedzieć, że sponsoruję aktualnego lidera Turnieju Grand Prix i sześciokrotnego mistrza świata Bartosza Zmarzlika, który z dumą prezentuje logo Orlenu. A ja przecież tankuję samochód na stacjach benzynowych tej firmy i przynoszę jej zyski.

Sztuczna barykada

W czasach podziału na dwa wielkie konkurujące bloki zachodnie zawodowstwo miało w sobie coś romantycznego. Podam przykład kolarstwa, bo o nim najwięcej wówczas pisałem. Szosowcy profesjonaliści dostawali pieniądze ze swoich grup zawodowych, z którymi mieli podpisane kontrakty. Nagrody na wyścigach stanowiły i stanowią zresztą do dziś tylko miły dodatek, dzielony po równo na całą ekipę, a swoją cząstkę dostają masażyści i mechanicy.

Nagroda dla zwycięzcy Tour de France za trzytygodniową mordęgę wynosi 500 tys. euro. Kontrakty gwiazd są wysokie, wynagrodzenie pomocników, zwanych w kolarstwie *gregario*, zawsze było niskie. Międzynarodowa Unia Kolarska musiała w końcu wyznaczyć dolną granicę zarobków w poszczególnych dywizjach (ligach).

Jedno zmieniło się w ostatnich latach. Kiedyś kolarz trenował sam, zgrupowania zawodowych stajni – jeśli w ogóle je organizowano – trwały krótko. Obowiązkiem zawodnika było przyjechać na wyścig w pełni przygotowanym. Jeśli sam czuł, że z jego przygotowaniami coś jest nie w porządku, opłacał sobie konsultację z trenerem – tak jak my chodzimy ze swoimi dolegliwościami do prywatnej przychodni medycznej, choć ubezpieczeni jesteśmy w ZUS.

Sprzęt, i to najwyższej światowej klasy, kolarze zawodowi dostają od sponsora technicznego, którego nazwę najczęściej mają wypisana nie tylko na rowerach, także na koszulkach. Podczas etapowego wyścigu kolarz potrzebuje minimum trzech rowerów (do jazdy w górach, po płaskim i w wyścigu na czas), a każdy rower to koszt dobrego samochodu.

W czasach, gdy zaczynałem dziennikarską karierę, sport był jednocześnie i zakłamany, i romantyczny. Zakłamany, bo mieliśmy do czynienia z tzw. zawodowym amatorstwem, i romantyczny, bo tego prawdziwego amatorstwa zostało jednak sporo po obu stronach tej sztucznej barykady.

Sport dzielił się wówczas na kapitalistyczny pod wodzą USA i komunistyczny, któremu przewodził wielki Związek Radziecki. Ponieważ zwycięzcy II wojny światowej przydzielili nas do radzieckiego bloku, znaleźliśmy się w rodzinie sportu amatorskiego. Obu stronom zależało na tym, żeby dzięki sportowym zwycięstwom wykazać wyższość swojego ustroju nad wrogim.

Oficjalna peerelowska propaganda – a jako dziennikarz sportowy byłem jej funkcjonariuszem – uznawała tylko jeden rodzaj wyczynu: amatorski. Zawodowstwo traktowane było jako przejaw moralnej dekadencji Zachodu. Nie, nie mieliśmy obowiązku krytykowania zachodniego sportu i sportowców. Po prostu mieliśmy o nim nie pisać, jakby w ogóle nie istniał. Oczywiście były wyjątki. Na przykład Tour de France to tak wielka impreza, że trudno ją było całkiem przemilczeć.

Nieroby pod ziemię!

Gdy wyjeżdżałem na kolarskie mistrzostwa świata, osobno rywalizowali amatorzy i zawodowcy. Większość uwagi i miejsca w swoich sprawozdaniach poświęcałem amatorom, wśród których ścigali się biało-czerwoni. Ale profesjonalistów nie dało się całkiem pominąć. Nie tylko poświęcałem im akapicik w dyktowanym do redakcji sprawozdaniu, ale przyglądałem się im zafascynowany ich sławą oraz sprzętem, na jakim się ścigali, a jeśli nadarzyła się okazja, prosiłem o autografy dla kolegi, który miał imponującą kolekcję podpisów gwiazd.

Zawodowe amatorstwo, obowiązujące w krajach bloku wschodniego, polegało na fikcyjnym zatrudnieniu sportowców w zakładach, z których pobierali pensje. Czasem nawet w kilku, bo jedna wypłata była – zdaniem działaczy – niewystarczająca, by zrekompensować im trudy treningów i startów w zawodach.

Pogadajcie z piłkarzami-górnikami z czasów PRL, a jeśli nie macie okazji, to poczytajcie wywiady z nimi. Dowiecie się, ile frustracji przysporzyły im przyjazdy do kopalni po wypłatę, zwłaszcza po przegranych meczach. Stojący w ogonku do kasy umorusani prawdziwi górnicy urągali im i głośno żądali zapędzenia nierobów pod ziemię. Dopiero po czasie ktoś puknął się w głowę i kasjerka przywoziła pieniądze do klubu, gdzie nikogo nic nie raziło, bo wszyscy dostawali wypłatę w ten sam sposób.

Oczywiście w porównaniu z zarobkami ich kolegów z Zachodu były to grosze, ale wszyscy wówczas tak zarabialiśmy.

Złotówki były niewymienialne na zachodnie waluty, pozyskać je było można tylko u cinkciarzy po absurdalnych kursach. Gdybym w ten sposób chciał wymienić moje miesięczne zarobki, wyszłoby, że zarabiam jakieś 20–30 dolarów. A i tak miałem się lepiej niż większość rodaków.

Andrzej Karczewski z PAP, jedyny znany mi dziennikarz sportowy z moich młodych lat, który nie pił i nie palił, znakomicie amatorsko grał w tenisa. Miesięczny urlop przysługujący nam wszystkim spędzał w Austrii, gdzie zatrudniał się jako tenisowy sparingpartner dla grubych, bogatych obywateli tego kraju. Z urlopu wracał bogatszy o sumę, jakiej nie byłby w stanie zarobić przez rok swojej dziennikarskiej pracy.

Nieżyjący już arcymistrz szachowy Krzysztof Pytel, piszący świetne felietony do wielu gazet, co roku wyjeżdżał na Bliski Wschód, gdzie uczył królewskiej gry znudzone arabskie księżniczki. Poświęcił dla nich, a raczej petrodolarów ich mężów, nie tylko dziennikarstwo, ale i świetnie rozwijającą się karierę szachisty. Każdy kombinował, jak mógł.

Napędzani chemią

Dziś już nie ma sztucznego i zakłamanego podziału na zawodowców i amatorów. Olimpijczycy dostają oficjalnie nagrody pieniężne, a kolarze podzieleni zostali na seniorów i młodzieżowców. Co ciekawe, amatorstwo odrodziło się w nowej formule, naprawdę czysto amatorskiej.

Niemal w każdej dyscyplinie mamy zawody dla amatorów. To pasjonaci sportu, którzy trenują i startują za swoje. Niestety, do tego prawdziwego amatorskiego sportu przedostają się patologie znane dotychczas wśród zawodowców, z dopingiem farmakologicznym na czele. Zawodowcy są dokładnie sprawdzani przez komisje antydopingową, amatorzy trenują i startują na własny rachunek, reprezentują tylko siebie, a nie swój kraj. Pamiętam, że jakiś czas temu niespodziewanie na starcie wyścigu amatorskiego pojawili się inspektorzy agencji antydopingowej i część uczestników szybciutko zapakowała rowery na dachy samochodów i pojechała do domu.

We Włoszech, w Hiszpanii i we Francji kolarstwo amatorskie jest niezwykle popularne. W tych krajach zdarzają się przypadki śmierci z przedawkowania dopingu. Zawodowcy, jeśli stosują jakieś chemiczne środki, robią to pod kontrolą lekarzy. Amatorzy biorą je garściami, byle urwać z koła sąsiada z miasteczka.

Widocznie tak już jest, że sport musi mieć ciemne strony. W antycznej Grecji, którą zwykle stawiamy za wzór, istniała aleja posągów, wystawionych na własny koszt przez zawodników przyłapanych na oszustwie. Chęć zwycięstwa warta jest wszystkich kosztów i dla osiągnięcia celu nie ma co liczyć się z etyką.

Czasem się zastanawiam, za co ja właściwie tak bardzo kocham sport.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 24.06.2026 r.

„NIE" w komórce
Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl e7de66dc69

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Przed biurem fałszowania zeznań podatkowych dla lekarzy w kolejce stało kilkunastu mężczyzn i kilka kobiet. Te drugie to pielęgniarki reprezentujące najbardziej zarobionych doktorów, tych, którzy pracowali na co najmniej trzech etatach.

– Ile mam wpisać? – zapytał fałszerz.

– Sto dwadzieścia – po głębokim namyśle odpowiedział pierwszy w kolejce gastrolog.

– Miesięcznie?

– Rocznie – oburzył się lekarz. – Brutto.

– Nikt nie uwierzy – zaoponował fałszerz.

– To ile pan radzi?

– Wpiszę sześćset. Nie za dużo, nie za mało. I brzmi wiarygodnie.

• • •

– A ty ile zarabiasz? – zapytał prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski.

– …siąt – niewyraźnie odpowiedział minister spraw wewnętrznych Marcin Kierwiński.

– No przecież nie mniej, niż dostawałeś w europarlamencie – dociekał prezydent.

– Nie mniej – zgodził się minister.

– A ja mniej. Niewiele, ale mniej.

– To uważaj, żebyś nie musiał poprawiać faktur, tak jak ten twój doktorek – zaśmiał się Kierwiński. Był to dość nerwowy śmiech.

– To nie jest mój doktorek – sprzeciwił się Trzaskowski.

– Był – poprawił go minister. – To był doktorek.

• • •

Premier Donald Tusk zmrużył wilcze oczy. Kryzys lekarski dawał mu się we znaki, notowania Koalicji Obywatelskiej spadały na łeb na szyję, a Kaczyński ostrzył sobie zęby na zwycięstwo wyborcze.

– Olej to – doradził premierowi Paweł Graś, szef jego gabinetu i najwierniejszy przyjaciel.

– Co? – zapytał mechanicznie Tusk.

– Całą tę sytuację. Niech wszystko biegnie swoją drogą. Niech lekarze zarabiają tyle, ile chcą, niech szpitale upadają, niech pacjenci…

Graś nie dokończył, bo zauważył, że premier go nie słucha.

– A ile ty właściwie zarabiasz? – zadał pytanie, które musiało przykuć jego uwagę. – Przynajmniej tyle, ile ten lekarz Trzaskowskiego?

– To nie jest lekarz Trzaskowskiego – westchnął Tusk.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA znów wróciła z Londynu. **JOANNA SENYSZYN** pojechała do Kielc otwierać biuro swojej partii.

Senyszyn: – A co ty tak ciągle do tego Londynu latasz? Nie ma innych miast na świecie?

Wołk-Łaniewska: – Za pokojem latam…

– To jesteś jak z tego dowcipu z PRL: tak będziemy walczyć o pokój, że kamień na kamieniu nie zostanie…

– I jeszcze była zagadka: „Kto walczy o pokój? Sublokator”.

– Walczył też Cyrankiewicz, który był, przypomnijmy, wiceprezydentem Światowej Rady Pokoju. Co wtedy wszyscy uznawali za lipne stanowisko dla dygnitarza na politycznej bocznicy. A niesłusznie.

– I mało kto pamięta, że pierwszym prezydentem rady był Frédéric Joliot-Curie. Który poza tym, że był zięciem Skłodowskiej i noblistą, to jeszcze działał we francuskim ruchu oporu, a później został członkiem KC Komunistycznej Partii Francji.

– A także był feministą, który wyprzedził swój czas. Kiedy ożenił się z córką Marii Skłodowskiej-Curie, Irène, obydwoje zmienili nazwisko. Stąd Joliot-Curie. Nasz astronauta Sławosz miał dobry wzór.

– A tego nie wiedziałam… Wracając do Cyrankiewicza i pokoju: Adam Rotfeld opowiadał Teresie Torańskiej, jak na wiosnę 1979 r. zadzwonił do niego Cyrankiewicz i mówi: „Ty jesteś ze Lwowa? A chcesz jechać do Lwowa na konferencję w sprawie pokoju i bezpieczeństwa?”. Rotfeld, że bardzo chętnie. Na co Cyrankiewicz: „No to jesteś przewodniczącym delegacji. Wygłosisz przemówienie”. A kto jest w delegacji? „Szwaczka, praczka, pomywaczka”… Tow. Cyrankiewicz nie miał chyba największego szacunku dla przewodniej siły narodu.

– Raczej dla kobiet nie miał. Dla pokoju miał.

– I ja też mam! Londyńska konferencja była znakomita, choć nie tak wielka jak w Paryżu. Napiszę o tym w przyszłym numerze, bo w tym już nie zdążyłam. Bardzo to podnoszące na duchu, że są na kolektywnym Zachodzie takie wydarzenia i politycy z pierwszych stron gazet, którzy biorą w nich udział.

– Jak rozumiem, znowu mówisz o Jeremym Corbynie…

– Ależ oczywiście, mówienie o Corbynie sprawia mi taką przyjemność jak Rzeckiemu mówienie o Wokulskim… Nawet udało mi się zrobić z nim krótki wywiad, też będzie w przyszłym numerze. Ale poza Corbynem byli Diane Abott, Richard Burgon, Jon Trickett – członkowie Izby Gmin, był francuski poseł-trockista Jérôme Legavre i belgijski poseł-marksista Peter Mertens. I ja bym bardzo chciała, żeby w Polsce też znaleźli się posłowie, którzy mieliby odwagę krytykować wydatki na zbrojenia.

– Konkretnie nadmierne, rozbuchane wydatki na zbrojenia. Masz to załatwione. Jak tylko Nowa Fala wejdzie do sejmu…

– A skoro się tak zgadało: jestem z ciebie coraz bardziej dumna.

– To oczywiste. A tym razem dlaczego?

– Stajesz się coraz bardziej czerwona. Wykład marksizmu dla Wirtualnej Polski – bezcenny.

– Od razu widać, że nigdy nie byłaś na moim wykładzie. Można się było z nich dowiedzieć znacznie więcej niż ta oczywistość: że majątki miliarderów zostały zbudowane na wyzysku, gdyż wartość dodatkowa pochodzi z nieopłaconej części pracy robotnika.

– I jeszcze powiedziałaś, że nie ma etycznych miliarderów!

– Oczywiście, że nie ma. Uważam, że ludzie, którzy gromadzą tak monstrualne majątki – i nie przychodzi im do głowy, że gdyby zrezygnowali z jednej dziesiątej zysków, to tysiące ich pracowników mogłyby nie martwić się o jutro – zatracili człowieczeństwo. Bo podczas gdy ich fortuny puchną z dnia na dzień, 17 mln Polaków żyje na granicy ubóstwa. I to nie tylko bezrobotni – także ci, którzy pracują w pełnym wymiarze, za tzw. płacę minimalną…

– Żeby tylko. Na początku czerwca GUS opublikował medianę zarobków z końca zeszłego roku. Okazało się, że w ukochanych przez władzę małych i średnich firmach mediana wynosiła dokładnie tyle, ile ówczesna płaca minimalna: 4666 zł brutto. Co oznacza, że połowa pracowników nie zarabia nawet płacy minimalnej. Albo że wszyscy co do jednego zarabiają równo płacę minimalną. Tak czy inaczej – kicha. Wracając do Londynu, a w zasadzie Brighton…

– To jednak nie to samo.

– Tak, jak Bruksela i Brugia. Ale można skoczyć, godzina pociągiem. I moja przyjaciółka Becia właśnie tak zarządziła. A że akurat zaczęła się na wyspach fala upałów – o której, nawiasem mówiąc, BBC mówi dużo więcej niż o dymisji premiera, więc to musi być jakaś rewelacja – zdążyłam się nawet nieco poopalać. W Anglii!



Ilustr. PAWEŁ FERENC

– I jak ci się podobało Brighton?

– Mnie bardzo, ale Becia była rozczarowana. Bo się spodziewała jakiegoś wykwintnego miejsca, niemalże z damami w koronkowych rękawiczkach pod koronkowymi parasolkami – a tam na molo pełnometrażowe wesołe miasteczko. Z karuzelą i kolejką strachów. Wcale nie wykwintne.

– Tobie to chyba nie przeszkadzało…

– Nawet wręcz przeciwnie – to cudne, że w takim miejscu rozrywki są ludyczne i dostępne dla ludu i jego potomstwa, a nie jak na molo w Sopocie, gdzie śledź kosztuje cztery dychy.

– Tak się cieszysz, jak dzieci mają gdzie się bawić?

– Nie. Ale chyba bardziej kocham egalitaryzm, niż nie znoszę dzieci. Zmieniając temat: widziałaś Obywatelski Order Przyszłości dla prezeydenta Zełenskiego?

– A to jest taki order?

– Jeszcze nie, ale obywatele chcą go utworzyć.

– Jacy obywatele?

– Oddolni. Tak jest napisane w prezentacji akcji: „Robimy to oddolnie”. Z listy sygnatariuszy wynika, że są to głównie okołopolityczni celebryci, którzy nie lubią PiS. Póki co zebrali pod inicjatywą 15 tys. podpisów, więc raczej niewiele, zważywszy, że obywateli mamy 38 mln. Może ma to jakiś związek z wyglądem orderu, na który składa się biało-czerwona wstęga i polski orzeł w ukraińskich barwach.

– Jak to?

– Normalnie: żółty orzeł na niebieskim tle. Taka nagroda pocieszenia w magiczny sposób obraża uczucia narodowe obu społeczeństw...

– Co nie zmienia faktu, że odebranie Zełenskiemu Orderu Orła Białego było kompletnie bezsensowne.

– Mnie to – wyznam ci szczerze – wisi i powiewa. Nie mam nabożeństwa dla Zełenskiego i nie mam nabożeństwa dla Orderu Oła Białego. Zwłaszcza odkąd prezydenci zaczęli go rozdawać partyjnym kolegom: Komorowski Buzkowi, a Duda Macierewiczowi.

– Duda dał wielu innym kolegom i koleżankom: Wildsteinowi, Romaszewskiej, Naimskiemu, Legutce, Kropiwnickiemu…

– I jeszcze Papciowi Chmielowi, twórcy Tytusa, i niejakiemu Pińskiemu, dramatycznemu rzeźbiarzowi, który wyprodukował to szkaradzieństwo przy moim domu…

– Które?

– Ołowiane żołnierzyki na Alei Wojska Polskiego. Oficjalnie: Pomnik Czynu Zbrojnego Polonii Amerykańskiej.

– No widzisz: dają komu popadnie, ale nikt nie odbiera. To odbieranie kojarzy mi się, nie wiem czemu, z wywalaniem świętych z katolickiego panteonu. W 1969 r. Paweł VI zlikwidował 93 świętych, co, nawiasem mówiąc, nie przeszkadza katolikom w ich czczeniu. Św. Krzysztof, patron kierowców, którego bogobojny lud wozi w samochodach, w ogóle nie istniał, podobnie jak św. Walenty…

– Zawsze mi się piosenka Chyły przypomina: o świętych, co szli na ziemię, bo już w niebie byli niepotrzebni. „A na ostatku szedł nieszczęsny Szymon Słupnik, z wielkim słupem w zadku”.

– Szymon Słupnik akurat nadal jest świętym. I słusznie, bo przesiedzenie życia na słupie to znakomita ilustracja użyteczności katolickich cnót w życiu społecznym.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl e7de66dc69